Nr. 25 (1432). Warszawa, 20 Czerwca 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym abonentom przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III. (Do numeru niniejszego dołączaym **list zwrotny**).

POLITYKA i Życie społeczne

Wśród zmiany dekoracyi.

Istota dziejowych dramatów nie polega na dekoracyjnych zmianach. Tępe umysły nie odbierają — być może — innych wrażeń, jak z efektów, których dostarczą: kurtyna i kulisy. Klęska pod Cuszimą, łańcuchy traktatów i przyjaźni króla Edwarda,—mowy i depesze, gniewy i podróże cesarza Wilhelma, — akcye, plany, konferencye marokańskie, macedońskie i perskie, świt nowego trójprzymierza w Rewlu, wszystkie wielkie, odnawiające postać świata „zdarzenia historyczne", wszystkie nowe ugrupowania państw i niespodzianki dyplomacyi, to tylko praca politycznych maszynistów, to tylko dzieła rekwizytorni i malarni kancelaryjnych czy sztabowych, to tylko „mise-en-scene" reżyseryi na wielkiej scenie rozwoju ludzkości.

Akcya właściwa ma z tem wszystkiem bardzo luźny związek. Reżyserzy i maszyniści, malarze i rekwizytorzy spełniają zakreślone im wykonawcze zadania, czyniąc to, z lepszym albo gorszym talentem, z mniej lub więcej wyrobioną rutyną i pomysłowością, w sposób pracowity albo niedbały, nieuczciwy albo sumienny.

Dramat tworzy się jednak poza nimi, niezależnie od poziomu zdolności, na którym stoi personel techniczny teatru dziejów, niezależnie od jego myśli, wrażeń i dążeń. Siły, które tworzą ów dramat, tkwią w głębinach duszy tłumów, w niezmiennych a tajemniczych, zaledwie odgadywanych prawach kierujących zbiorowem życiem społeczeństw. Karzełkom, trudniącym się zakulisową scenerya zmiennych obrazów dnia, zdaje się czasem, że oni tworzą dzieje; w rzeczywistości grają niezmiernie często rolę czynników wstrzymujących, przeszkadzających normalnemu tokowi akcyi. Podnoszą kurtyny zbyt późno, dekoracye nastawiają fałszywie, maszyneryę obmyślą, urządzą i obliczą błędnie — i doprowadzą do katastrof, któremi życie przywołuje ich do porządku. Do spisywania tych katastrof ogranicza się urzędowa polityczna historya i powszednia polityczna reporterya.

Ale punktów zwrotnych dramatu dziejów szukać raczej trzeba we wszystkiem, co z temi katastrofami zewnętrznemi ma jak najdalszy związek, w przejawach, których dostarczają źródła, tkwiące wśród nizin, ukrytych zazwyczaj przed wzrokiem „wielkich" tego świata. Jedno z takich źródeł dało właśnie znak swego istnienia. A choć mało się dziś o niem jeszcze mówi i myśli, nie można wątpić, że rozleje się ono szybciej w żywy strumień, niż to przypuszczają zajęci przestawianiem państwowych kulisów maszyniści. Nie da się zapewne przewidzieć, jak długiego potrzebować będzie czasu, aby mocą własnego prądu wymusić zmianę ogólnej dekoracyi, ale można mieć ufność, że nie zdążą go już zasypać żadne wysiłki.

Źródło pojawiło się tam, gdzie się najmniej spodziewano, przedarło się przez najgrubszą ścianę, jaką zastarzałemu porządkowi rzeczy wystawiono w społeczeństwach współczesnych: pojawiło się w Berlinie i przedarło się przez system pruskiej ordynacyi wyborczej. Do sejmu Królestwa Pruskiego, w którym dotąd tylko polskim posiadaczom większej własności danem było podnosić głos protestu, w imię zdeptanych praw człowieczych, wchodzi nagle, przez gwałtowny, zdumiewający wyłom w mieszczańskiej obojętności posiadających warstw stolicy, garść posłów, głoszących hasła dość względnej społecznej przemiany w imię ideałów ludowych, co więcej, w imię fanatycznych haseł socyalno-demokratycznej dogmatyki...

Kiedy pierwsze wybory ludowe w Rosyi stworzyły izbę, ożywioną ideałami przeistoczeń politycznych i społecznych, z Berlina właśnie nie szczędzono przestróg i nawoływań, aby zasypać to źródło zatrute. Oburzano się na szaleństwo Wittego, który wydał „tępy umysł mużyka na łup krzykliwych demagogicznych bohaterów gęby". Maksymilian Harden, najwierniejsze echo rekwizytorów i inspicyentów departamentu politycznego w urzędzie spraw zagranicznych Berlina, nie posiadał się z oburzenia, „jak można ścierpieć grubiańskie poniewieranie mężami zasiadającymi w najwyższej radzie swego Monarchy, nawet choćby ci mężowie zdaniem większości ludu nie byli najgodniejszymi!" („Zukunft", Nr. 43 w roku 1906, str. 128). Po dwóch latach oświecone mieszczaństwo samego „ogniska kultury świata" oddaje mandaty chorążym czerwonego sztandaru, a pan Harden—o ironio losu! — poniewiera najbliższem otoczeniem swego własnego Monarchy w sposób budzący zgrozę najtępszych nawet wrażliwości...

Kulisy i dekoracye uległy istotnie w tych dwóch latach pewnym zmianom. Inspicyenci p. Hardena, którzy od chwili ruiny Bismarka niestrudzenie pracowali nad utrzymaniem w mocy jego testamentu i odrobieniem „nieszczęścia", jakiem był w ich oczach

sojusz francusko-rosyjski, byli przed dwoma laty bliscy tryumfu. Dochodziło przecież do tego, że p. Harden widział już namiestników niemieckich w państwie rosyjskiem nawróconem na tory autokratycznego systemu: poddanem raz na zawsze pod łaskawy protektorat pruski. Marzenia te zwolna pryskają. A pryskają nie dla tego, że królowi Edwardowi podoba się owijać swego niemiłego siostrzeńca w powijaki pokojowych aljansów, które starają się unieszkodliwić potęgę niemiecką. Król Edward należy tylko do wykonawców, — także dekorator, tylko staranny, sumienny, pilnie nasłuchujący tętna chwili. Polityka jego to polityka skutków przemiany pojęć powszechnych, szlachetnienie kultury ludzkiej. Prędzej czy później rzemiosło polityczne musiało się zacząć liczyć z naturalnem parciem tej przemiany.

Kiedy Maksymilian Harden po rozpędzeniu pierwszej Dumy radził Rosyi zupełne cofnięcie październikowego manifestu i poszukania poza granicami rosyjskiemi „dzielnych namiestników" dla prowincyj („Suche Dir Statthalter, hole sie uber die Grenze, wenne hier an tüchtigen Männern fehlt"), kiedy wzywał do przelewu krwi i użycia żelaznej miotły, zapewniał, że nikt niema powodu oglądać się przy tem wszystkiem na „tytuły prawne". I powoływał się na Kanta, na Goethego, na Macaulaya, na Fryderyka Wielkiego i na Nietzschego. Kant powiedział: „Jeszcze żaden filozof nie mógł zgodzić zasad państwowych z moralnością, a jednak żaden także nie umiał zaprojektować lepszych, którby się dały pogodzić z ludzką naturą". Goethe: „Kto działa, jest zawsze niesumienny; sumienie ma tylko ten, kto patrzy". Macaulay: „Aksyomy polityki taką mają naturę, że najpodlejszy rozbójnik wzdragałby się przyznawać do takich zasad choćby pod przesłankami najzaufańszemu nawet ze swoich kompanów". Fritz pruski: „S'il s'agit de duper, soyons fourbes". Nietzsche: „Państwo jest zorganizowaną niemoralnością".

W słowach Kanta, Goethego, Macaulaya jest głęboki ton moralnego oburzenia, którego rozmyślnie nie odczuła sprusaczona na nietzscheańsko-fritzowską modłę dusza p. Witkowskiego-Hardena. To oburzenie filozofów, poetów, historyków odczuwać zaczynają nieme dotąd miliony ludu, przez wieki całe przykute do taczek owych „zorganizowanych krzywd i gwałtów". Zaczyna je już wreszcie odczuwać nawet mieszczaństwo nad Sprewą. Zaczyna je już odczuwać władca najpotężniejszego, najkulturalniejszego z ludów świata. I pod wpływem tej indygnacyi społecznej, której przejawy stawać się odtąd muszą coraz trwalsze, zmieni się zwolna dekoracya świata. Zmieni się albo naturalnym rzeczy porządkiem, jeśli maszyniści i dekoratorzy, rekwizytorzy i inspicyenci zrozumieją nieuchronną konieczność i spełnią co do nich należy, — albo też zmieni się wśród wrzawy dziejowej, jeśli podniesienie zasłon i zmiana tła zbyt długo każą na siebie czekać.

Przykazanie Wielkiego Fritza: „Soyons fourbes", jest do dziś dnia najgłówniejszą zasadą państwowego ustroju Niemiec współczesnych. Ale nad Tamizą i nad Sekwaną coraz głośniej rozbrzmiewa okrzyk zwrócony w stronę wschodnią: „Soyez honnêtes"! Okrzyk ten dolatuje już nad Bałtyk i nad Newę, odbija się nawet pierwszem echem wśród nadsprejskiego mieszczaństwa. Echom tym ludy świata, zjednoczone w imię wolności, nie pozwolą już odtąd zamilknąć.

K. ...G.

Wolna myśl i wolnomyśliciele.

Ustrój społeczny jest siecią współzależnych i wzajemnie na siebie wpływających zjawisk materyalnych, moralnych i psychicznych; każda dziedzina życia zbiorowego i indywidualnego jest bezpośrednio lub też bardziej czy mniej pośrednio zależna od wszystkiego co się na życie społeczeństwa i jednostki składa. Nie można też wyobrazić sobie n. p. normalnego rozwoju społeczeństwa pod względem moralnym przy nienormalnym stanie ekonomicznym, gdyż stopień ucisku materyalnego ma zawsze i mieć musi swój odpowiednik w sile przymusu moralnego t. j. obowiązkowego wyznawania oficyalnie uznanych praw i poglądów. Nie można sobie wyobrazić normalnego rozwoju moralnego i ekonomicznego bez wolności politycznej, która umożliwia i swobodną, niekrępowaną niczem pracę kulturalną i oświatową (rozwój moralny) i swobodne regulowanie stosunku między pracą a kapitałem, jako też swobodną organizacyę pracy (rozwój ekonomiczny). I tak dalej. Słowem—tama jednej dziedziny życia unieruchamia inne.

Określiłem już w rozdziale poprzednim dogmatyzm społeczny, polityczny i religijny i wykazałem jego szkodliwość, jako tamę normalnego rozwoju całego społeczeństwa. Trzy te kategorye dogmatyzmu (z której każda ma swoje niezliczone odmiany i przejawy) są, dla powyżej wspomnianej współzależności wszystkich dziedzin życia, ściśle ze sobą związane i wymagają ze strony wolnomyślicieli działania na trzy fronty, o ile działalność ich ma być pełna i owocna.[1] To też mają oni ogromne pole pracy. Pole to — jak je określił prof. Ignacy Radliński[2]) — stanowi: krytyka wszystkich za nietykalne dotychczas uważanych poglądów, wszystkich za konieczne dla szczęścia ludzi i utrzymywania ich w ładzie i porządku poczytywanych wierzeń i pojęć; krytyka wszystkich instytucyi społecznych, których początek otaczał mrok dziejowy; ocenianie ich wartości i użyteczności z innego zupełnie punktu widzenia, który to punkt widzenia wytworzyła nauka, a więc: obalanie jednych, przekształcanie drugich... Nowy

[1]) Na międzynarodowym kongresie wolnomyślicieli w Rzymie (1904 r.) powzięto jednogłośnie następującą rezolucyę: „Międzynarodowy kongres w m. oświadcza, iż celem wolnej myśli jest wyzwolenie umysłu ludzkiego z wszelkich wierzeń i przesądów religijnych. *Oświadcza też, że wolna myśl nie powinna zwalczać jedynie przesądów i dogmatów religijnych, lecz także i nadewszystko przesądy polityczne i społeczne*"... (Congres de Rome. Compte-Rendu Officiel. Str. 191—195).

[2]) W słowie wstępnem do mojej broszury p. t. „Wolna myśl". Warszawa, 1907.

Emil Zola.

BEZROBOCIE.

Robotnicy przybywający rankiem do warsztatu, zastają go nieogrzanym, ciemnym, pełnym tej smutnej zapowiedzi nadciągającej ruiny. W głębi wielkiej sali, maszyna milczy; ręce jej długie, chude, opuszczone, koła nieruchome—wieje melancholia od tej, która ożywiała dom cały tchnieniem swym, warczeniem i uderzeniami serca z zapałem pracującego.

I przez pięć minut stoją oni milczący, z pięściami zaciśniętemi, spoglądając na narzędzia swe bezużyteczne.

W poprzednich porankach, od świtu samego zawodziły piły, młoty wybijały takt, a dziś wszystko śpi, zasypane już tą kurzawą bankructwa. I oto dwadzieścia a może trzydzieści rodzin jeść nie będzie w tygodniu następnym. Parę kobiet pracujących w fabryce, ma oczy łez pełne. Mężczyźni chcą okazać więcej męstwa. Udają odważnych, dowodzą, że w Paryżu ludzie nie umierają z głodu. Oddalają się jeden po drugim, z tej dusznej sali, z gardłem ściśniętem, sercem zlodowaciałem, zupełnie jakby opuszczali pokój, gdzie spoczywa nieboszczyk. A zmarłą tą jest praca — jest nią ta wielka maszyna niema, której szkielet złowróżbny rysuje się ponuro w cieniu.

Robotnik znajduje się na ulicy — na bruku. Napróżno przebiega on miasto wzdłuż i wszerz, przez tydzień cały, codziennie — daremnie szuka pracy. Pukał od drzwi do drzwi — ofiarowując ramiona swe, ofiarowując ręce swe, wreszcie siebie całego do jakiejbądź roboty — podjąłby się najwstrętniejszej, najcięższej, śmiertelnie nużącej. Wszystkie drzwi zamykały się przed nim. Wówczas robotnik ofiarował swą pracę za pół ceny. Pracowałby za darmo, spotkałaby go również odmowa, niepowodzenie. Jest to pora bezrobocia, owego strasznego zastoju w handlu i przemyśle, który podzwania echem pogrzebowem wśród mieszkań robotniczych. Panika wstrzymuje wszelką wytwórczość a pieniądz, pieniądz ukrył się nikczemnie.

W tydzień już położenie jest wprost rozpaczliwe. Robotnik po nieudanych nadludzkich wysiłkach wraca powoli do domu—idzie z rękami próżnemi, upadający pod brzemieniem trudu i nędzy. Deszcz pada—Paryż w tym błocie wieczorowym ma wygląd smutny, żałobny. Idzie on w ulewę, nie wrażliwy na nią prawie, odczuwający tylko głód dokuczliwy — zatrzymuje się co chwila, aby opóźnić swój powrót do domu. Oparł się o parapet mostu — wody Sekwany wezbrane płyną z szumem wielkim, pryskając białą pianą, rozbijając się o filary mostu. Pochyla się on trochę więcej naprzód — pod nim fala olbrzymia — rzeka woła go ku sobie ochrypłym głosem. Ochłonął — mówi sobie że byłoby to jednak podłością — odchodzi. Deszcz ustał. Gaz rzuca blaski na wystawy sklepów jubilerskich—znowu pokusa—stłuc szybę—zagarnąć raz tylko a miałby chleba pod dostatkiem na szereg lat.

Restauracye oświetlają się powoli, za firankami z muślinu białego, widzi ludzi jedzących i pijących. Przyspiesza kroku kieruje się ku przedmieściom, mija piekarnie, sklepy rzeźnicze, składy drobiu—mija cały

światopogląd, oparty na ogólnej wiedzy, dostarczając podstaw do krytyki przeszłości z natury rzeczy zastąpić musi poprzedni, a zastępując, stać się oporą nowego porządku społecznego w przyszłości, jak poprzedni był oporą starego.

Lecz jakiż to jest ów nowy światopogląd, który wytworzyła nauka i na czem polega owa krytyka, czyli, jakie instytucye ma obalić, jakie przekształcić a jakie stworzyć?

Zanim odpowiem na te zasadniczej wagi pytania, muszę uprzednio odeprzeć powszechnie znany i przez szeroki ogół podzielany zarzut: praca wolnomyślicielska jest jakoby par excellence burzycielską, jej istotą jest negacya, nic daje ona nic wzamian za wierzenia, które zwalcza. To mylne mniemanie jest szczególnie charakterystyczne dla naszego społeczeństwa: ponieważ wolna myśl na miejsce zwalczanych doktryn i dogmatów nie stawia żadnych nowych doktryn i dogmatów, stąd wyprowadza się wniosek, że nie stawia ona nic, gdyż w pojęciu naszego, jeżeli się tak można wyrazić, zdogmatyzowanego ogółu koniecznem rzekomo oparciem psychicznego i moralnego życia jest doktryna i dogmat.

Wykażę niżej pozytywną pracę wolnej myśli; tu nadmienię jedynie, że w samem jej burzycielstwie zawiera się już element twórczości, tak samo jak w każdej walce społecznej; burzenie starych pojęć i wierzeń jest zawsze torowaniem drogi dla nowego światopoglądu, nowych dążeń, nowych ideałów. Pierwszy objaw nowej wiary—powiada prof, Seailles — widzę w odrzuceniu tego, w co wierzyć już nie możemy. W każdej negacyi jest coś pozytywnego i ażeby wiedzieć w co wierzymy, należy naprzód uświadomić sobie to, w co nie wierzymy.

Po wszystkich dotychczasowych wyjaśnieniach przystępuję do sformułowania zasad wolnej myśli i jej stosunku do życia społecznego i politycznego. Skorzystam przytem z tych deklaracyi i uchwał międzynarodowych kongresów wolnomyślicieli, które najgłębiej i najdobitniej rzecz ujmują, a które naszemu ogółowi są zupełnie jeszcze nieznane *Wolna myśl w życiu społecznem*. W walce z dogmatyzmem społecznym i z dogmatyczną moralnością, które scharakteryzowałem w rozdziale poprzednim, myśl wolna kieruje się następującymi motywami i zasadami świeckiej, społecznej moralności:[3])

([3] Uchwała kongresu paryskiego (Compte rendu, s. 119—121.

Uważając, że moralność oparta na wierzeniach religijnych, jakiekolwiek oddała usługi społeczeństwu w przeszłości, sprzeciwia się obecnie rozumowi i sumieniu:

rozumowi, gdyż niemożliwem jest zmusić człowieka samodzielnie myślącego ani do poddania się autorytetowi rzekomo nieomylnemu, ani do uznania dogmatów rzekomo niewzruszonych, ani też do wierzenia w fakta rzekomo nadprzyrodzone;

sumieniu, gdyż niemożliwem jest, by człowiek oświecony doświadczeniem stuleci zadowolnił się takim ideałem moralnym, który pojmuje Dobro, jako spełnianie nakazów.

Uważając, dalej, że należy rozróżniać moralność teoretyczną i moralność praktyczną;

że dla zbudowania naukowego systematu moralności teoretycznej t. j. nauki praw postępowania człowieka, należałoby zapożyczyć wskazówek od różnych nauk socyologicznych, które dalekie są jeszcze od wypowiedzenia ostatniego słowa;

że, przeciwnie, moralność praktyczna, jest techniką czynu, czyli sztuką współżycia i że możliwem jest stopniowe ustanowienie reguł czynu, biorąc pod uwagę psychiczną organizacyę człowieka i zmienne dane środowiska społecznego.

Wolna myśl kieruje się następującemi zasadami, według których wydaje jej się możliwem stworzenie moralności świeckiej zastosowalnej do każdego demokratycznego społeczeństwa:

I. Moralność jest faktem naturalnym (nie nadprzyrodzonym). Nie należy przypisywać jej ani pochodzenia ani charakteru innego, niż wszystkim dziełom umysłu ludzkiego.

II. Moralność jest faktem społecznym: jest ona rezultatem uczuć i idei, któremi kieruje się społeczeństwo dla określenia praw i obowiązków obywateli.

III. Czyli że, moralność nie może mieć charakteru absolutnego; zmienia się ona wraz ze społeczeństwami przez które i dla których została stworzona.

IV. Imperatywny charakter moralności nie ma nic wspólnego z dogmatem narzucanym inteligencyi człowieka, lecz, przeciwnie, polega na przepisach rozumu, z których umysł ludzki zdaje sobie sprawę i którym się poddaje przez własnowolne uznanie ich konieczności tak dla dobra społeczeństwa, jak i dla dobra jednostki.

V. Sankcye prawa moralnego nie zawierają się w systemacie kar i nagród, lecz wynikają ze zgodności tego prawa z naturą człowieka.

VI. Nauczanie moralności opiera się na dwóch współrzędnych i wzajemnie się dopełniających ideach, które stanowią podstawę każdego demokratycznego społeczeństwa, a mianowicie: z jednej strony — pełny rozwój indywidualności człowieka przez wolność; z drugiej—godzenie tej indywidualności z solidarnością społeczną. Lecz ani owa wolność, ani owa solidarność nie może być stosowana jedynie w życiu moralnem i politycznem: tak jedna jak i druga muszą się stosować także do ekonomicznego życia społeczeństwa. Uznając prawo każdego człowieka do życia i pełnego rozwoju jego osobowości, demokracya dąży do zniesienia tych wszystkich nierówności, które wypływają nie z natury człowieka, lecz z organizacyi społecznej. Taka moralność nie uważa za wyłączną regułę czynu ani egoizmu, ani altruizmu, lecz szanuje w dwóch tych tendencyach to, co jest w nich naturalne i uprawnione; ogranicza jedną za pomocą drugiej i w równowadze tych tendencyi widzi środek pogodzenia praw człowieka z obowiązkami jego względem rodziny, narodu i ludzkości.

Oto są pozytywne zasady moralności wolnej myśli. *Polityczna rola wolnej myśli* zawiera się w laicyzacyi wszystkich instytucyi i urządzeń społecznych, a w pierwszej mierze polega na oddzieleniu Kościoła od Państwa, czyli na zrównaniu praw instytucyi wyznaniowych (kościół, synagoga, cerkiew i t. d.) z prawami wszelkich stowarzyszeń kulturalnych, filozoficznych, etycznych i t. d. W oddzieleniu Kościoła od Państwa, czyli w zniesieniu uprzywilejowanej religii państwowej; w pozbawieniu Państwa prawa mieszania się do religijnych spraw obywateli, o ile nie zakłucają one spokoju publicznego; w zniesieniu budżetu wyznań, czyli w pozbawieniu Kościoła opieki i poparcia ze strony Państwa — wolna myśl widzi *jedyne zapewnienie swobody wyznawania takiej lub owej religii lub też niewyznawania żadnej*. Wiara, religia i obrzadki religijne nie mogą być nakazane przez prawo, gdyż decyduje o nich rozum i sumienie; przeto organizacya religii — Kościół, nie może mieć ze strony Państwa ani materyalnego ani moralnego poparcia.

Oddzielenie Kościoła od Państwa prowadzi, a raczej, daje możność laicyzacyi wszystkich instytucyi społecznych, a przedewszystkiem:

1) ustanowienia świeckiej wolnej szkoły, pozbawionej wszelkiego charakteru wyznaniowego, nie narzucającej żadnych przeko-

---

ten Paryż łakomy rozkładający swój towar w godzinach głodu. Dziś rano chcąc uspokoić żonę i dziecko, przyrzekł przynieść im chleba wieczorem. Nie śmie powrócić przed zmrokiem zupełnym do domu—przyznać się że skłamał. Idąc zapytuje się w duszy, jak wejdzie, co im powie, jak nakłoni jeszcze do cierpliwości i wytrwania?

Brak im już sił—żona, dziecko takie wątłe. On jeden czekać mógłby jeszcze. Przez chwilę jedną błysła mu myśl wyżebrania tego kawałka chleba. Ale na widok zbliżających się panów i pań, ręka wyciągnięta napół mu sztywnieje; za gardło go coś chwyta—stoi jak przykuty do chodnika a ludzie porządni mijając go, na widok dzikiego wyrazu jego twarzy odwracają się od niego ze wstrętem, sądząc że jest pijany.

Żona robotnika zeszła na próg domu, pozostawiwszy tam na górze małą uśpioną. Kobieta jest bardzo chuda, mizerna, w starej wypłowiałej sukni kretonowej. Owionął ją lodowaty podmuch ulicy, trzęsie się z zimna. Mieszkanie stoi pustką — zastawili już wszystko — tydzień bezrobocia wystarcza aby ogolocić dom robotnika. Wczoraj sprzedała ostatnią garść wełny, ze swego materaca, jakiemuś handlarzowi starzyzny, poduszki poszły już dawno, pozostało tylko pokrycie płócienne z materaca, które zawiesiła na oknie, chcąc uchronić małą kaszlącą bardzo, od zimnych przeciągów. Kryjąc się przed mężem, szukała i ona ze swej strony, ale bezrobocie odbiło się jeszcze srożej na kobietach niż na mężczyznach. Na korytarzu tego samego piętra, słyszy ona te nieszczęśliwe szlochające. Spotkała jedną z nich na rogu ulicy, jedna umarła, wreszcie któraś zniknęła. Ona szczęśliwa, ma męża poczciwego człowieka, który nie pije. Byłby u nich dobrobyt, gdyby nie ten zastój, który wyzuł ich ze wszystkiego. Wyczerpał się kredyt—winni są piekarzowi, rzeźnikowi—nie śmie przejść nawet koło tych sklepików. Po południu wybrała się do siostry, chciała pożyczyć dwadzieścia susów—ale zastała u nich biedę jeszcze rozpaczliwszą, rozpłakała się — przesiedziała tam czas dłuższy, milcząca, zawodząc razem z siostrą, nad tą ich wspólną nędzą.

Odchodząc obiecał przynieść trochę chleba, jeśli więc powróci z czemkolwiek. On zaś nie wracał—deszcz nie ustawał—ukryła się w bramie. Wielkie krople wody pluszczą u jej nóg, mgła wilgotna osiada na jej cienkiej sukni. Chwilami ogarnia ją niecierpliwość, wychodzi na ulicę mimo ulewy, idzie aż do rogu, chcąc dojrzeć go zdaleka, powraca przemoknięta cała, strzepuje rękoma włosy, aby je osuszyć trochę — uzbraja się w cierpliwość, wstrząsana częstymi dreszczami. Przechodnie mknący tu i tam potrącają ją. Kurczy się, maleńka usuwa im się z drogi. Mężczyźni przypatrują się jej—czuje chwilami oddech ich ciepły muskający ją po szyi. Ten Paryż podejrzany ze swemi ulicami, zabłoconemi, światłem migocącem blado, łoskotem powozów, zdaje się chciałby ją porwać i rzucić w otchłań nędzy i upadku. Głodną jest—czyż nie jest w jego mocy? Naprzeciwko widok piekarza przypomina jej dziecko śpiące na górze.

Nareszcie dojrzała męża który sunął jakby nędznik lub zbrodniarz wzdłuż ściany domów — biegnie ku niemu, spogląda na niego strwożona, niespokojna? I cóż? szepcze. On milczy — nie mówi nic, spuściwszy głowę. Wówczas zwraca się ona i wstępuje wolno na stopnie schodów—śmiertelnie blada—zrozpaczona.

Na górze mała nie śpi. Obudziła się i rozmyśla — kawałek świecy dopala się na rogu stołu. Oblicze tej siedmioletniej smarkaty, o rysach zawiędłych i powadze kobiety dojrzałej ma w sobie coś potwornego i rozdzie-

nań religijnych i nie zmuszającej do odbywania religijnych praktyk

2) laicyzacyi urzędów publicznych, które nie mogą się kierować względami religijnymi, a przez to samo wyróżnianiem jednej religii na niekorzyść drugiej, lecz dobrem i interesami całego społeczeństwa

3) zawierania aktów stanu cywilnego metryki, śluby, rozwody, pogrzeby i t. d.) bez przymusowego udziału duchowieństwa. Udział duchowieństwa w zawieraniu tych aktów pozostawia się własnej woli poszczególnych obywateli.

W myśl powyższych reform brzmi uchwała rzymskiego kongresu:

W zastosowaniu do społeczeństw, myśl wolna jest metodą, która pragnie poddać sam ustrój społeczny prawom rozumu. Społeczeństwo oparte na tej metodzie ma pierwszy obowiązek zniesienia we wszystkich instytucyach publicznych (administracyi, sprawiedliwości, oświaty, dobroczynności etc.) charakteru wyznaniowego, przez co należy rozumieć, że powinna ona uczynić te instytucye nietylko neutralnemi w stosunku do różnych wyznań religijnych, lecz obcemi, odpornemi na wszelki wpływ religijny i bezwzględnie wyłączającemi wszelki dogmatyzm tak wyraźny, jak i zarodkowy.

Tyle o politycznej roli wolnej myśli w wewnętrznem życiu każdego narodu. Zaś w stosunkach międzynarodowych, myśl wolna prowadzi akcyę pokojową, zdążającą do uniemożliwienia wojny. W pracy tej kieruje się zasadami, które zostały sformułowane na kongresie paryskim i przyjęte przez wszystkie europejskie i amerykańskie ligi wolnej myśli.

W celu uniemożliwienia wojny, wolnomyśliciele działają wspólnie z towarzystwami międzynarodowego pokoju, biorą czynny udział w sądach rozjemczych, propagują ideę pokoju w szkole i rodzinie, „zastępując—jak głosi jedna z uchwał—militarnego ducha w wychowaniu — przez oświecony, humanitarny patryotyzm”, pracują wreszcie w parlamentach nad stopniowem rozbrojeniem państw i stałym zmniejszaniem budżetu wojny.

Józef Wasercug.

Polityczne mimicri.

Okrutny bocian, żerując na łące, sieje zniszczenie. W przeraźliwie długi, ostry dziób wpada, co jest na drodze: ślimak, wąż, glista, jaszczurka, ropucha...

Mała sprytna żabka tylko, zielona, jak liść krzewu, po którym skacze, pewna swego: nie dostrzeże jej oko wroga; przycupnie cichutko pod liściem, ani drgnie, jak on...

Zielona żabka barwą swoją myli czujność bociana; robak przyczepiony do kory drzewa, którą się karmi, szary w cętki, jak ona, oszukuje łakomego wróbla.

Zmyślność zwierząt nie ma granic. Są motyle, które naśladują pokrewny sobie gatunek tylko dlatego, że nie rzuca się na niego żadne najchciwsze stworzenie ze względu na smak ostry i zapach nieprzyjemny.

Fauna pustyni przeważnie piaskowo-żółta: nawet lew, jej król...

Niema zjawisk przyrody, któreby nie powtarzały się w społeczeństwie ludzkiem. Prawo mimicri... dla... wygody, albo... dla obrony, albo... że tak jakoś wypadło: po prostu — niewiadomo, dlaczego?..

Ludzie, jak zwierzęta: lubią przyczaić się, przycupnąć za czyjemiś plecami i niechętnie odrzynają się od tła ogólnego: to narzuca pewne obowiązki; z pod obłoków najłatwiej głową w dół rozbić się o kamień...

Biernego mężczyznę ponosi czasami, wbrew jego woli, huragan, bo... nie ma parawanu ramion i pleców, za którymby się skrył; wstanie, pójdzie sam...

Kobieta?..

Za nią, przed nią, dokoła niej wały ochronne: może spać.

I spała wieki, przyczepiona do ogniska, szara, nikła, jak mały, w korze drzewa uwięziony robaczek. Życie przewalało się nad nią: ona — wszywała w krosna pustkę bezmyślnej doli swojej.

Czasami budził ją groźny szczęk. Otwierała oczy szeroko i, postrzegając, że przed nią, za nią, dokoła niej niema muru rąk ochronnych, bo... kto żyw: mąż, brat, ojciec na wojnie, a wróg tuż, tuż... zrywała się od krosien, szła sama w bój.

Mieliśmy dzielne niewiasty kresowe, którym Tatarzy nie pozwalali spać...

Mieliśmy — w dobie ciężkich klęsk, kiedy od jęków ludu bielał włos, — wielkie ofiarniczki narodu, których krew zlała wszystkie ołtarze...

Jednostki...

Ogół... spał i... śpi...

Polityka?..

Rzecz mężów, ojców, braci...

Zadomowiona cicha kurka do niedawna jeszcze nie wiedziała, poco kobiecie gazety?..

Teraz — czyta czasami: rano, przy kawie, kiedy starsze dzieci w szkole, a młodsze z mademoiselle na przedpołudniowym spacerze.

Najpierw — odcinek. Jaki też będzie koniec Pity: czy naprawdę nie wyjdzie za Porzyckiego?..

Albo — Dzieje grzechu: takie straszne!.. Czy Szczerbic—przez Ewę—zginie z rąk Pochronia?..

Czyta wiadomości bieżące: gdzie, jaki sklep napadli bandyci?.. komu zrabowali pieniądze?..

Okropne!.. Ten socyalizm!.. Kiedy to się skończy?..

Rzuca gazetę.

Telegramy?..

Od męża przy obiedzie dowie się co najważniejsze. Przyjdzie pewnie kto jeszcze; zacznie się dysputa: i tak pełne uszy będzie miała tej polityki...

Rozumie się, jest zawsze po stronie męża. Jakżeż by mogło być inaczej?..

Nawet nie pojmuje, że można sprzeczać się o *takie* rzeczy...

Czy warto?.. Psuć sobie życie dla jakichś tam... głupich teoryj?.. Nie trzeba mieć rozumu...

Rautujące, flirtujące, kwestujące na paralityków i inne zbożne cele panie mecenasowe, doktorowe, inżynierowe, bankierowe wolą sprzeczki z mężem schować, gdy chodzi o rzeczy ważniejsze: o suknię empire, na którą odmawia jej stu rubli, o modny toczek, którego potrzeby nie chce uznać ten... zacofaniec!..

. . . .

Dla różnych przyczyn i zasad przystosowują się kobiety do środowiska, w którem żyją. Polityczne niewyrobienie jest jednakże najważniejszą z nich.

Z matki na córkę idzie bierność ideowa, a — jeżeli wyjątki otrząsają się z niej, — społeczeństwo krzyczy: „pomyłka!.. mężczyznami im być”!..

Zajęte drobiazgami życia, wprzęgnięte w kołowrot trosk przyziemnych, dawne gospodynie, żony, matki, które od przędzy na odzież aż do kęsa chleba: *wszystko* musiały przyrządzać same, parą stwardniałych w pracy rąk, — nie miały czasu zajmować się polityką. Myśl ich kostniała w kieracie najcodzienniejszych potrzeb. Jak bajki, słuchały opowieści o wielkich czynach.

Z czasem—malały ciężary. Dziś—praca domowa została tym tylko, które nie mogą pozwolić sobie na zbytek dostatecznej obsługi. Żony drobnych kupców, przemysłowców, urzędników ciągnąc dawny kierat, jedną znają troskę: „co będzie na obiad”?.. I ta przysłania im świat. Nie idą z nikim,

---

rającego serce. Siedzi ona skulona na brzegu kuferka, służącego jej za posłanie. Nogi bose ma opuszczone, trzęsie się z zimna—ręce wielkiej laleczki zchorowanej naciągają na piersi gałgany którymi jest okryta. Myśli więc... Nigdy nie miała zabawek—nie może pójść do szkoły bo niema bucików. Pamięta, że niegdyś będąc malutką, wyprowadzała ją matka na słońce —ale to tak dawno już temu. Przenieśli się potem do innego mieszkania i od tej chwili zdaje jej się powiało zimno wielkie na dom ich cały. Od tej pory nie była nigdy zadowoloną i szczęśliwą, bo była zawsze głodną. Wszystko jest owiane tak głęboką tajemniczością, że umysł jej dziecięcy nie może tego pojąć.

Czy wszystkim głód dokucza? Chciała się oswoić z tą myślą, że tak być musi a nie inaczej — napróżno — sądzi że jest za mała, aby posiąść tę umiejętność. Matka z pewnością zna ten sposób, ale starsi kryją się przed małemi dziećmi. Gdyby się ośmielić, zapytać czy wszyscy ludzie są głodni? A potem tak tu u nich brzydko. Spogląda na okno zasłonięte, na którem chwieje się płachta płócienna z materaca, widzi te ściany brudne, nagie, meble kulawe — tę całą nędzę poddasza.

Majaczą jej się po głowie wspomnienia przeszłości — pokoje ciągle jasne, z pięknymi meblami lśniącymi; zamyka oczy, chcąc ujrzeć raz jeszcze to wszystko a przez przymknięte powieki zapadłych oczów, światło świecy przemienia się w wielką jasność złotą, która ją ku sobie ciągnie.

Na świecie wiało, wieje, chłód w izdebce staje się przenikliwszym, kaszel porywa małą — ma oczy łez pełne. Dawniej obawiała się samotności — obecnie jest jej to już prawie obojętne. Głodną jest — od wczoraj nic nie jadła — ma nadzieję, że matka przyniesie trochę chleba. Myśl ta rozwesela ją. Pokraje sobie chleb otrzymany w drobne kawałeczki — będzie je jeść powoli, jeden po drugim. Bawić i cieszyć się będzie tym chlebem.

Oto i matka powraca — Ojciec również —drzwi zamknął—mała patrzy na ich ręce puste, dziwi się niezmiernie ich milczeniem. Po chwili odzywa się głosem omdlałym: „Głodną jestem, głodną bardzo. Ojciec obejmuje głowę obu rękoma, zasuwa się w kąt ciemny — stoi tam zgnębiony a głuche i gwałtowne łkanie wstrząsa jego ramionami. Matka tłumiąc swe łzy, podchodzi do dziecka, układa je na posłaniu, okrywa łachmanami, szepcze cicho, prosi aby było grzeczne i starało się zasnąć.

Ale mała drżąca z zimna i głodu ośmiela się nagle, zarzuca ręce na szyję matki, potem łagodnie pyta: Mamo, powiedz, dlaczego jesteśmy głodni?

(tłom. *Z. H.*)

ani za nikim: jedyny dostęp do nich — głos z kazalnicy. Budzi się na dźwięk jego czujność uśpiona i zwraca w pierwszym lepszym wskazanym kierunku...

Bogata, a nawet średnio zamożna kapłanka domowego ogniska zawodowym siłom oddaje większość obowiązków swoich. Sama dużo ma czasu: mogłaby uświadomić się we wszystkich dziedzinach politycznego i społecznego życia, ale — nie czuje potrzeby.

„Z mężem, za mężem... Czy nie najwygodniej?...

Mamy małżeństwa, gdzie żona wymawia posłuszeństwo polityce domowej. Powstaje rozdźwięk. W dobie ostatnich przełomów słyszymy o nim coraz częściej, ale — nie łudźmy się: prawo mimieri zostało, czem było. Zmieniwszy tylko barwę, kapłanka rodziny przystosowała się do innego środowiska.

Korepetytor chłopców, przyjaciółka, ktoś z dobrych znajomych przyniósł nowy dech. Zaraziła się nim bezkrytyczna dusza; „wzięło ja". Gnana *uczuciem*, nie zrozumieniem idei, przeszła na nową wiarę...

Jeżeli polityka mężczyzn bywa najczęściej wypadkową wpływów, które na nich oddziaływują, — to kobieta, której całe wieki kładziono w głowę, że „dla niej kołowrotek, a dla męża miecz", — przejść musi tresurę dobrej szkoły, żeby otrząsnąć się z nałogu przystosowywania pojęć.

W każdej epoce dziejowej zjawiały się tęgie umysły, świadczące, że kobieta może być dzielnym politykiem. Elżbieta, Katarzyna II, Marya Teresa, Wiktorya.. Na skinienie ich drżał świat. Miały zauszników, podszeptujących akty woli, ale — który panujący oprze się im? Tron dziedziczny umożliwia politykę jawną, a ile kobiet prowadzi ją bez prawa do niej?

Było państwo w Niemczech, którem od posad wstrząsnęła nóżka tancerki. Przed panią Pompadour skłonić głowę musiała nawet dumna Marya Teresa...

Poboczne wpływy siały najczęściej zniszczenie, bo — co w ciemnościach zrodzone, mrok tylko ciągnie za sobą. Wyprowadzona na światło dnia praca polityczno-społeczna wyzwalających się kobiet kreśli najszersze ideały ogólno-ludzkiego dobra.

„Jestem przekonany, że kobieta głosować będzie za tem, co sprawiedliwe" — woła Wilhelm Fox, gorący rzecznik równouprawnienia obu płci. — „Nie tworzy ona żadnych frakcyj lub partyj, nie posiada własności, obciążonej długami hipotecznemi. Widząc przed sobą cel wzniosły, dąży doń prostą drogą".

Tam, gdzie płeć przestała być regulatorem wiedzy; tam, gdzie kobieta oddawna uczy się na równi z mężczyzną, a nawet razem z nim, dojrzałość jej polityczna przyszła szybko. W Nowej Zelandyi, Australii, niektórych Stanach Ameryki, w Finlandyi otrzymały kobiety pewne prawa wyborcze czynne i bierne, a że dorosły do zadań swoich — świadectwem opinia nawet wrogów.

Pember Reevs, wielki nieprzyjaciel równouprawnienia kobiet, przyznaje wszakże, iż wniosły one do parlamentu dech nowy, poruszając zagadnienia, od których stronili dotąd mężczyźni.

Reforma prawa małżeńskiego i prawa dzieci nieślubnych, prawo zabezpieczenia starości, prawo o zabronieniu wyszynku, podniesienie wieku, w którym wolno kobiecie wstępować w związki małżeńskie, z 13-u do 16-u lat, — to były pierwsze sprawy, poruszane w parlamencie przez delegatki Nowej Zelandyi, Australii, Ameryki.

Mniej więcej to samo, szerzej tylko, przedstawiły w sejmie swoim Finlandki. 14 z pomiędzy nich żądało — poza reformą prawa małżeńskiego i praw matki, — reformy położenia kobiet w państwie i w pracy społecznej. Reszta — pięć — dopominały się o opiekę prawną nad dziećmi i młodzieżą, o reformę szkolnictwa, objęcie służby domowej paragrafami prawnymi i t. p.

Wyważyć z posad zmurszałą etykę stuleci, oprzeć ją na zasadach najdostojniejszych ideałów humanitarnych — do tego powołaną została kobieta i rolę swoją spełni, bo ta... *wyzwalająca się*... idzie naprzód z młodymi...

* *
*

Polki posiadają wszystkie dane do wyrobienia się na samoistne, świadome dążeń i celów swoich dźwignię politycznego i społecznego bytu.

Mieliśmy Jabłonowskie, Załuskie, Szczanieckie, Platerówny, Chrzanowskie...

Ból wyczekiwania hartuje. Naród, wsłuchany w dzwon na złe lub dobre jutro, nie może spać, jak ci, którym surmy grają spokojną pieśń bezpiecznych dni.

Kobieta jest z tych, co sen mają najlżejszy. Budzi ją szelest, którego nie słyszą inni: w statystyce snobów miejsce jej ostatnie.

Ale — na czujność jaskółczą czyha zaborcze prawo upodobniania: piaskowo-żółty miraż pustyni, do której przystosowywa się nawet lew, jej król...

„Nasze babki tak a tak: my nie możemy inaczej... coby świat o nas powiedział"?

W chórze dawnych wartości dwugłos tradycyi i opinii to najsilniejszy narkotyk środowiska.

Opiera mu się jednak młoda, twórcza siła „odmieńców", za którymi — w chwilach przewrotów — ciągną gromady.

Dreszcz czynu wstrząsa niemi.
Pada wyłom po wyłomie.
Patrzą, dziwią się.
Ich dzieło?
Sami nie wierzą.

Zaledwie burza przycichnie, ogarnia je dawna senność, nieprzezwyciężona

Inną kołysanką śpiewa nowe otoczenie, ale — i w niej przemoc zaborcza.

Doba nie mija, gdy — na wygodnych, ciepłych legowiskach, zadowoleni i syci — cieszą się, że mogą powtarzać nutę gotową, nie potrzebując szukać jej w sobie...

C. Walewska.

O profesora Wahrmunda.

Strejk studentów na wszystkich uniwersytetach niemiecko-austryackich trwa dalej. Wiele krzyku i spożytej energii w sprawie właściwie nie godnej tak wielkiego animuszu. Chcemy więc wierzyć, że nie profesor Wahrmund, o którego sprawie informowaliśmy swego czasu czytelników *Prawdy*, jest przyczyną strejku, lecz że strejk ten jest tylko epizodem w odwiecznej walce dwóch różnych światopoglądów, klerykalizmu i postępu. Chcemy wierzyć, że strejk ten jest tylko stanowiskiem obronnem wolnomyślicieli, którzy bronią się wobec coraz bardziej zaborczych wycieczek chrześciańsko-socyalnego stronnictwa. To ostatnie, opanowawszy stopniowo prawie wszystkie placówki społeczne, polityczne i gospodarcze, a mając już w ręku szkoły ludowe, ma wyraźny zamiar zdobycia szkół wyższych. Nieostrożnie wyrwał się z tymi zamiarami burmistrz miasta Wiednia Lueger na zjeździe katolików i przez to obudził czujność kół liberalnych.

Strejk, którym grozili studenci już w początkach afery Wahrmundowskiej, został zażegnany dzięki zręcznej taktyce profesorów, którzy oświadczyli studentom, że gdyby wolność uniwersytetów została zagrożona, oni pierwsi staną w jej obronie i zawieszą wykłady. Faktem jest, że większość fakultetów na uniwersytetach austryackich złożona jest przeważnie z uczonych postępowych. Biurokratyzm jednak wciskający się w najdrobniejsze pory życia publicznego dostał się i do tych ongi dumnych samorządem organizacyj uczonych i zdziałał, że nieraz w sprawach kultury czcza formalistyka przeważa. I tak senat uniwersytetu insbruckiego uchwalił, by odczyty profesora Wahrmunda o prawie kanonicznem chwilowo zawiesić. W międzyczasie jednak wydażyła się afera w Gracu. Tamto, jak na wszystkich uniwersytetach niemieckich, bywały ciągłe starcia o to, czy związki studenckie katolickie mają prawo noszenia rapirów i czapek burszowskich, czy też prawo to, dlatego że studenci katoliccy nie przyjmują pojedynków, nie przysługuje nikomu jeno burszom narodowo-niemieckim. Ponieważ umysły młodzieży były już i tak rozognione, postanowił rektor, że promocya jednego z członków katolickiego związku „Karolina" odbędzie się z wykluczeniem publiczności, li tylko dla gości proszonych. Tymczasem jednak zebrało się przed uniwersytetem około dwustu chłopów pod przewodnictwem klerykalnego posła Hagenhofera, którzy gwałtem chcieli wejść na uniwersytet. Odparci przez studentów i żandarmeryę nie uzyskali nic, ale postępowanie ich dolało tylko oliwy do ognia — jako widoczny klerykalny atak na uniwersytet. Prawie równocześnie powrócił do Insbrucku prof. Wahrmund, który wprawdzie kollegiów nie miał, lecz kierował swojem seminaryum, na co mu fakultet zezwolił. Studenci klerykalni grozili rozruchami, namiestnik więc kazał zamknąć uniwersytet. Stąd protest senatu, a jako skutek tych obu spraw — ogólny strejk.

Rząd a wraz z nim minister oświaty Marchet znajduje się w nader trudnem położeniu. Marchet wstąpił do gabinetu jako przedstawiciel odłamu postępowych Niemców na których sztandarze na miejscu naczelnem wypisana jest „Wolność nauki". Jednak jako członek gabinetu liczyć się musi na równi z innymi kolegami po tece, z większością chrześciańsko-socyalną, w której i tak jest źle widzianą osobistością. Rząd czując pod nogami chwiejny grunt polityczny, chciałby wszystkim wygodzić, byle pozostać u steru i przepchać nawę państwową po przez „konieczności państwowe", jak uchwalenie budżetu, rekruta i t. d. Szuka więc wyjścia z trudnej sytuacyi, chce zakończyć półrocze letnie 15 b. m. przenieść Wahrmunda na inny uniwersytet i gotowym jest do innych jeszcze ustępstw wobec obu stronnictw. Na razie jednak strejk trwa i zakończenia sprawy nie widać.

Przypatrzmy się jak sprawa ta odzwierciedla się na arenie parlamentarnej. W dyskusyi budżetowej, w której dotychczas zwykle toczyły się drobiazgowe sprzeczki o bydło, paszę i t. d. można było się przysłuchiwać tym razem poważniejszym wywodom; tak zajmującej mowie leadera wolnomyślnych, profesora Masaryka i replikom chrześciańsko-socyalnych grajzlerników, którzy nie pogłębiając sprawy bajali, jak ślepy o kolorach.

Ciekawem jest, że w zapale walki kulturalnej zatarły się chwilowo i częściowo kontrasty narodowe. I tak w Pradze solidaryzują się w kwestyi uniwersyteckiej Czesi z Niemcami; w Insbrucku gdzie niedawno toczyły się walki o fakultet włoski, Niemcy z Włochami, w Wiedniu zaś Kroaci, Serbowie i Niemcy.

Interim.

Nauka i Sztuka

ZE SZTUKI.

Dramat i komedya. „**Wujaszek Jaś**” (Diadia Wania) *Czechowa*. „**2 × 2 = 5**” *Wieda*.

W teatrze Małym sezon letni zapowiada się interesująco, zarówno pod względem repertuarowym, jak i wykonawczym. P. Adwentowicz wolał chwilowo przenieść swe lary i penaty z pierwszej-drugiej na drugą-pierwszą scenę warszawską i, po eksperymentach przygotowania i reżyseryi „Upiorów”, „Rosmersholma” i „Hamleta” w Rozmaitościach oraz „przypadkowości” swych występów gościnnych w „Szkole” i „Lekkomyślnej Siostrze”, gra obecnie „Wujaszka Jasia” Czechowa—już w teatrze Gawalewicza. Obecności też gościa lwowskiego zawdzięczać przeważnie należy zapowiedź w Małym „Ojca” Strindberga (z Adwentowiczem i Stanisławą Wysocką z Krakowa).

Sztuka Strindberga obiegła wszystkie poważne sceny europejskie, w tej liczbie i polskie (Kraków, Lwów);—Warszawa jej, dotychczas, nie zna...

„Wujaszka Jasia” wystawiono w Małym, jak na improwizowane warunki i środki techniczne tej sceny, nader starannie. Można się zgadzać, lub nie zgadzać z układem i kamertonem całości, odbiegającej nieco od potężnego pierwowzoru teatru Stanisławskiego, można się spierać o „żywiołowość” typu doktora Astrowa w interpretacyi Adwentowicza i „refleksyjność” Wujaszka Jasia-Weycherta, przyznać jednak należy bezsprzecznie, że całość czyniła zadosyć wymaganiom sceny—poważnej.

„Diadia Wania”—to wielce subtelna karta z życia współczesnej inteligencyi rosyjskiej. Pełna jest głębokiego smutku, rosyjskich „porywów” i rosyjskiej „beznadziejnej” rezygnacyi. Wymaga ona gry dyskretnej, skupionej, głębszych indywidualności wykonawczych i — umiejętnego kierownictwa. W teatrze Małym nie zbagatelizowano ról drugorzędnych („Rosmersholm”—Rozmaitości), nie wystawiono sztuki bez prób na chybił-trafił,—ułatwiono wykonawcom chwilowym i stałym zadanie dla dobra—całości.

Że personelu Rozmaitości nie należy czynić odpowiedzialnym za grzechy—kierownictwa, dowodzi najlepiej premiera ostatnia, satyra Wieda: „2 × 2 = 5”.

Gustawa Wieda, świetnego ilustratora oportunizmu, obłudy konwencyonalnej i... zygzaków matematycznych w życiu „przeciętnej” współczesnej Danii i — nie Danii tylko,—wprowadzono na repertuar sceny warszawskiej przygodnie.

Ktoś przetłomaczył doskonałą satyrę „duńskiego Bernarda Shaw'a”, ktoś ją doręczył, ktoś poczynił właściwe uwagi, a „dyrekcya literacka” ograniczyła swą rolę do—nie odrzucenia sztuki.

I oto rezultat doraźny: w wystawie, układzie i reżyseryi sztuki—pewna pomysłowość i sumienność, w grze większości wykonawców — odczucie intencyi autora, właściwe ożywienie i dbałość o wrażenie całości.

Coś, jakby powiew świeżego powietrza i na scenie i — w teatrze.

Czy na długo?

Stanisław Barycz.

Młoda Rosya.

10. Ecce homo! „Sanin” Arcybaszewa.

O lirykach pisałem dotychczas — o pisarzach niepopularnych, o budowniczych wiotkich mostów między krainą snu a rzeczywistości. Jak wiadomo, gdy mowa o współczesnej literaturze rosyjskiej, na ustach wszystkich zjawia się nazwisko Andrejewa, tak jak dawniej Gorkiego. Krytyka miejscowa nieraz usiłowała zdać sobie sprawę z przyczyny zjawiska, że mistyk i wizyoner, pisarz o duszy wklęsłej, wczajonej, *wróg ludu* z bożej łaski prześcignął pod względem popularności wszelki rekord, pomimo iż znaczna większość jego utworów nie odpowiada miernym artystycznym wymaganiom. Niechętni, zawistni olbrzymiej sławy ogłosili już Andrejewa za nowelistę z gatunku dziennikarzy, odzwierciadlających efektowne konstelacye polityczne i społeczne.

O Andrejewie całym — nie o poszczególnych jego utworach—nie pisał dotychczas ani syntetycznie ani nawet uczciwie, nikt; własną próbę w tym kierunku odkładam na później—na tem miejscu zaznaczam jedną z przyczyn niesłychanej poczytności autora „Sawwy” i „Czerwonego śmiechu”: wyrzuca on, niby wulkan płomienisty, wrzącą lawę życia, przepojonego cierpieniem. Nie obchodzą go nic a nic formy, w jaką lawa ta zastygnie, że zaś życie ludzkie w pewnych załamaniach rozpryskuje blaskiem tęczy, więc lecą złaknieni wielobarwnej prawdy ci wszyscy, których by mianem mistycznych realistów w Rosyi nazwać było można. A tych jest legion.

Dajcie nam życie, nadewszystko życie, choćby w nieznośnej udręce, w cierpieniu skąpane — marzy i rozkazuje czytelnik rosyjski, przedstawiciel tej lepszej, niż burżuazya zachodnia, „zwartej większości”. Nie dla nas Balmont, Blok, Wacław Iwanow, nie dla nas oderwani od ziemi filozofowie moraliści, amoraliści lub innormaliści. Chcemy prawdy o konkluzyi logicznej, chcemy dróg do prawdy tej prowadzących. Nie rozumiemy górnolotnej gędźby waszej wieszczej mowy, nie zgadujemy z wami tajemnic nocy białych, i śnić o królewnach z bajek, o nieznajomej pani nie umiemy. Ale chcielibyśmy w wolnej od zajęć chwili rozważyć to wszystko co nam przekazali nasi wielcy, Turgeniew, Dostojewski, Tołstoj, porównać z chwilą obecną, zdać sobie sprawę z wartości dawnych, obejrzeć nasz, dzisiejszy *typ*, oblicze człowieka. Niech będzie bohaterem, o głowę wyższym od otoczenia, i z wysokości tej niech huraganem nowych idei zagrzmi. Przedstawcie nam go, i... niech nie mówi do nas wierszem, jeno językiem życia łez codziennych, prawd wewnętrznych, a jasnych.

Andrejew jakoby poruszał ramionami. Zdawna pewnym jest wszechwładztwa ostrego, przeszywającego bólu w każdej kropli „życia człowieka” — w jego łzach, pocie, krwi serdecznej. Dziwacznie uśmiecha się, nie pocieszając nigdy. Czytają go wszyscy i złorzeczą. Potępionym staje się wciąż bardziej za swą rdzennie rosyjską „bezgruntowość” (bezpoczwiennost') właśnie przez tych, co nigdy sami gruntu pod nogami nie czuli. Gdyby go mieli... ba, gdyby znaleźli punkt oparcia; wysadziliby bryłę ziemską w powietrze dźwignią dyalektyki.

Czego nie daje Andrejew, szarpiący raz tę, raz inną garść akordów rozpaczy, to przynoszą pisarze-prozaicy lubiani przez szeroką publiczność, tak zwani „bytowi”, realiści. Do wybitniejszych należy Kuprin, którego wsławił „Pojedynek”, i Arcybaszew, autor kilku tomów beletrystycznych utworów, z których żaden nie znalazł takiego rozgłosu, jak powieść „Sanin”.

Bohater człowiekiem jest pospolitym, nihilistą ortodoksalnym, godnym i prawym potomkiem słynnego Bazarowa z powieści Turgeniewa. Ale ponieważ od epoki „pątnictwa do ludu”, od lat sześćdziesiątych i siedmdziesiątych upłynęło wiele wody, więc i egoizm brutalny, obojętność solipsysty, która ongi była podłożem i charakteryzowała temperament ruchu pełnego poświęceń, dojrzała w swej żądzy użycia i zagłuszyła wszelkie altruistyczne instynkta. Sanin nie przerasta wcale o głowę swych towarzyszów; jest tylko od nich fizycznie silniejszym, i będąc świadomym tej przewagi, nie umie się wahać, ani odmawiać sobie niczego. Od kiełkowania myśli do karczowania jej w czynie przeskakuje bezwzględnie, amoralistycznie, bez wyrzutów biednego zbankrutowanego sumienia. Zwłaszcza w sferze erotycznej.

Powieść ta aktualną jest nie dlatego, że bohater jej ma po raz niewiem który nadane cechy nadczłowieczeństwa, ile że niemal wyłącznie porusza ona niezmiernie dziś modny „problem płciowy”. Szereg satelitów Sanina, samców i samiczek w płaszczach konwenansu, tradycyi, instynktu samozachowawczego, lub bez nich, ma na celu wszechstronne oświetlenie prawdy o wolnej miłości, którą naturalnie i bez skrupułów wprowadza i przesnuwa barwnem pasmem przez swe życie bohater tytułowy. Ideowa i nieraz natchniona to apologia ciała, którego najlżejsze westchnienie, najsubtelniejszy szept żądzy Arcybaszew zamienia w krzyk najgłębszego przekonania. To zarazem specyficzny psycho-fizyologiczny artyzm całej książki, bowiem filozofia i estetyzm Sanina mocno szwankują i sprowadzają się do przeżuwania odwiecznych paradoksów, mieniących się w tęczy przerzuconej nad mostem do nadczłowieczeństwa.

„Żył, gdzie się nadarzy, robił, co wypadnie, to pracował, to wałęsał się bez widocznego celu, lubił trunki i znał wiele kobiet... Ogólnej idei nie było w jego życiu, nikogo nie nienawidził i za nikogo nie cierpiał”. Takim jest człowiek współczesny, którego w epoce rozczarowań idealizuje młodzież i ubóstwiają za niezłomność kobiety. Takiem jest dzisiejsze signum temporis.

A oto katechizm saninowski, kształcący pokolenia „zielone”, zrzeszający je w „ligi wolnej miłości”:

...Łotr, prawdziwy, otwarty łotr jest przedewszystkiem zupełnie szczerym i naturalnym człowiekiem... Widzi rzecz, która do niego nie należy, ale która jest dobrą, i bierze ją; widzi piękną kobietę, która mu nie chce uledz, weźmie ją siłą albo podstępem. I to jest zupełnie naturalnem, albowiem potrzeba i rozumienie rozkoszy jest właśnie jedną z niewielu cech, odróżniających naturalnego człowieka od zwierzęcia. Zwierzęta, im bardziej są zwierzętami, nie rozumieją rozkoszy i nie są zdolne do zdobywania ich. Załatwiają tylko swe funkcye. Wszyscy zgadzamy się na to, że człowiek nie jest stworzonym dla cierpień i toć nie cierpienia są ideałem dążeń ludzkich...”

Hasło „carpe diem!” jest ujściem optymistycznem dla zachwianego w podstawach swej budowy doczesnej pesymisty. Epikureizm Sanina i związany z nim logicznie amoralizm doskonale odpowiada chwili obecnego wygaśnięcia ideałów na dalszą metę obliczonych; nie można jednak nie dojrzeć w Saninie rysów zwyrodniałego człowieka-boga, który tak niedawno jeszcze tryumfował na całej linii, jako Tomasz Gordiejew i bosiacy Gorkiego, budząc lęk w

sercu Mereżkowskiego. Jeżeli tamci dopięli szczytu metafizycznego nihilizmu, to Sanin, spojrzawszy zaledwie na ich wyciągnięte groźnie ku niebu pięście, spokojnie ugrzązł w rodzimem, burżuazyjnem bagnie, nie złorzecząc nikomu i nie wyzywając. Nie znosi organicznie wszelkich dociekań, bierze wszystko tak jak mu się przedstawia w danej chwili, i upraszczając aż do pierwowzorów cały schemat życia, drwi zarówno ze świadomych ascetów jak i suchotniczych marzycieli o czynie.

Pochroń Żeromskiego nierównie silniejszym jest od Sanina. Ten ostatni wyrzeka się inicyatywy wszelkiej i awanturnictwa, czekając na łatwą zdobycz. Zresztą Arcybaszew urywa powieść słonecznie, wlewając w pierś swego bohatera łaknienie stepu i modrych dali. Można się domyślać, że dalsze losy Sanina wyzwolą go z pewnej apatyi, przy której nawet gwałt leży na linii najmniejszego oporu, można wierzyć, że dorośnie do zbrodni.

Opinia ogółu przywitała tę książkę, jako pornografię. Ten sam los spotyka wszakże w pewnych sferach i ostatnią powieść Żeromskiego. Wszelka dysputa w tej kwesyi jałową jest. W obnażeniu psychologicznem Żeromski i Andrejew dochodzą do świętego obłędu flazelantów. Nie znam bardziej nagiej, zda się bezskórnej duszy, jak „w pewnej chwili" Ewa w „Dziejach grzechu", chyba u Dostojewskiego, lub w „Judaszu" Andrejewa. Arcybaszew obnaża zmysły i puszcza wodze fantazyi plastycznej, po za reprodukcyami z „Le Nu académique" nie chwytał jednak chyba nigdy ciała kobiecego z jego dobrem i złem, jasnością i mrokiem, błogosławieństwem i występkiem. Jego opisy lubieżnego ciepła dziewiczych biódr, falowania piersi, nużą swą jednostajnością, demaskują podobieństwo autora do jego apatycznego bohatera, który wydaje się też zgoła pozbawionym petroniuszowskiego znawstwa. Wpływ powieści tej na młodociane umysły i wyobraźnie jest pomimo wszystko olbrzymim. Jest ona zarazem — i w tem błędne koło — doskonałem odzwierciedleniem fermentu, którym opływa chwila dzisiejsza.

Nie rozumiem rzeczy aktualnych, brak mi dla nich zmysłu krytycznego. Może powieść ta jest dziełem wielkiej miary, jak chcą niektórzy. Dla mnie gest Arcybaszewa pozostaje nieoryginalnym, tanim, choć godzić się muszę, że odpowiada on nastrojowi desperackiej chwili obecnej. W zestawieniu z „Dziejami grzechu" powieść rosyjskiego autora uderza płytkością postawienia problemu płci, ciasnym kątem widzenia kobiety. Potęga rodzaju, życia, potęga kosmiczna dziejowa, twórcza i niszczycielska zdegradowana do rzędu parafialnej panienki, z którą sobie każdy Sanin da radę.

Ale prawda. Powieść całą dramatyzują ludzie „pospolici", i autor się z tem nie kryje. Więc nie można nic ponadto wymagać. A ponieważ i czary są pospolite, i wielkości filigranowemi się stały, więc i współczesny Sanin kroczy z dumnie wzniesioną głową ku słońcu—ecce homo!..

Tadeusz Nalepiński.

NA DOBIE

Misyonarzowi wiedzy.

Polskie Ateny — bo wszakże Kraków zasługuje na tę nazwę — uczciły w tych dniach obchodem jubileuszowym dwudziestopięciolecie pracy uczonego polskiego, którego polem działalności było środowisko w niczem do Aten nie podobne. Siedziba najstarszej polskiej wszechnicy posiadająca i akademię umiejętności i szkołę sztuk pięknych, miasto pełne bibliotek, zbiorów, miasto, które swoim uczonym dać może wszystkie warunki niezbędne dla pracy owocnej: spokój, atmosferę naukową, moralne i materyalne oparcie, gościło człowieka, który w ciągu całych dwudziestu pięciu lat swej działalności o samą możność pracy niezmordowaną a wytrwałą toczyć musiał walkę.

W Królestwie Polskiem niema i nie było miejsca dla miłośników wiedzy. W takich warunkach jak nasze, oddawać się pracy naukowej, to albo zbytek u wybrańców, albo bohaterstwo bojowników losu.

Do takich bojowników walczących pod sztandarem wiedzy należał i należy Ludwik Krzywicki. Wszystko co umożliwia egzystencyę uczonego, sam sobie musiał stworzyć lub zdobyć: bibliotekę, materyały, katedrę, słuchaczy. Tych ostatnich nigdy mu nie zbrakło.

Od chwili, gdy w prasie peryodycznej postępowej, w szczególności w *Prawdzie*, zaczęły się pojawiać artykuły podpisane K. R. Żywicki, wszystkie umysły żądne wiedzy, wszyscy ci, co w nauce widzą nie drogę do karyery lecz bogactwo ducha, garnąć się zaczęli, wkoło tej improwizowanej wędrownej katedry, z której dzisiejszy jubilat wykładał naukę o człowieku i społeczeństwie ludzkiem. Głowy się rozjaśniały, rozszerzały się umysłowe widnokręgi, zespalały się serca miłością dla prawdy naukowej — i cała ta nieszczęśliwa młodzież, która w okresie szkolnym znała tylko mozolną tresurę pamięci i języka oraz wytężoną, zabijającą walkę o stopnie i świadectwa, odradzała się duchowo pod wpływem radosnego odkrycia, że wiedza to nietylko potęga, — wiedza to rozkosz.

Było ich więcej tych cichych apostołów światła; nikt nie cieszył się tak szerokim, bezpośrednim wpływem na młode umysły, jak Krzywicki i Marburg. Wspominam i to drugie nazwisko, choć nie o niem tu mowa, ale niepodobna ich dziś rozłączać, gdyż związała je tradycya tego okresu czarnej pomroki, gdy wszystkie światła trzeba było chować pod korcem, gdy psychologia, antropologia, ekonomia polityczna stanowiły u nas kontrabandę ściągającą niebezpieczeństwo na przemytników wiedzy.

Czy panowie profesorowie uniwersytetu jagiellońskiego umieją sobie wyobrazić życie takich kolegów, co to z dnia na dzień walcząc o byt materyalny, nocną pracą gromadzą materyał do wykładów wygłaszanych ukradkiem nie w wielkich i wygodnych aulach uniwersyteckich lecz w ciasnych mieszkankach przepełnionych słuchaczami drżącymi nerwowo na każdy dźwięk dzwonka?

Lata mijały za latami, setki uczniów i uczennic przepływały przez ów uniwersytet koczujący po całej Warszawie—i zwolna ale stale podnosił się poziom umysłowy naszej inteligencyi, zwolna ale stale praca podkopywała siły jej kierowników i wychowawców.

Było to szczęściem Krzywickiego, że jego siły żywotne wyszły zwycięzko z tej twardej walki, że doczekał chwili, gdy mógł rozszerzyć swą działalność na te szerokie rzesze, z któremi wiązały go najsilniejsze spójnie duchowe.

Człowiek nauki stał się najdzielniejszym, najbardziej niezmordowanym krzewicielem oświaty wśród mas, popularyzatorem w szerokim i podniosłym stylu.

„Prawo do wiedzy dla wszystkich" oto jego hasło. Hasłem tem objeżdża zapadłą prowincyę i otwiera oddziały uniwersytetu powszechnego w takich nawet zapadłych i zaniedbanych zakątkach, do których przedtem nie dotarły jeszcze promienie nauki,— a tylko pod tchnieniem pierwszych powiewów wolności głód wiedzy budzić się zaczynał. Tych głodnych i łaknących karmił Krzywicki chlebem umysłowym, uczył ich jak się uczyć mają, zapalał światełka w ciemnościach, otwierał szeroko okna na świat pełen zjawisk tem cudowniejszych im się je lepiej zrozumie i pozna.

Liczne rzesze prostych ludzi oderwanych od ciężkiej pracy gromadziły się dzień w dzień w koło niego, chciwie chwytając każde jego słowo, z ufnością zgłaszając się po rady, wskazówki, szukające odpowiedzi na dręczące ich bezradny umysł pytania. Coraz więcej serdecznych nici sympatyi i ufności snuło się między nim a spragnioną światła rzeszą.

Praca go nie nużyła, zdawało się nawet, że przez nią wciąż się odradza. Tajemnicę tej siły i żywotności — udało mi się odgadnąć jak sądzę: Krzywicki nauczając sam się uczył. Wykłady popularne dawały mu to bezpośrednie poczucie rzeczywistości, którego tak często brak uczonym z katedry, co grozi im skostniałością i wytwarza jakąś obcość, jakąś pustkę między nimi, a ich społecznem środowiskiem. Przez swoją działalność popularyzatorską, Krzywicki utrzymał w ręku puls życia: dzięki jej nietylko rozumie społeczeństwo ale je odczuwa.

Dawała mu ona coś więcej jeszcze — poczucie spełnionej misyi. Żyć w ścisłym związku ze zbiorowiskiem ludzkiem, którego się cząstkę stanowi, ciągle musieć ze siebie dawać to, co jest naszą najlepszą, najcenniejszą treścią, być niezaprzeczenie użytecznym, być niewątpliwą wartością poszukiwaną, cenioną, niezbędną — nie dla potrzeb, kaprysów czy nastrojów chwili lecz dla najgłębszych pragnień i dążeń dźwigających się w górę ku światłu rzesz ludzkich — toż to najczystsze źródło szczęścia i powinszować należy Krzywickiemu, że w końcu ćwierć wiekowego okresu pracy dano mu z niego czerpać.

To gorączkowe, ruchliwe, bezmiernie męczące, nieprawdopodobnie pracowite życie misyonarza wiedzy — jest bardzo pięknem i każdy kto, w treść jego wniknie, a zapewne i Krzywicki dziś, gdy go uroczystość jubileuszowa zmusza do rzucenia wzrokiem na własną działalność — przyzna, że tak właśnie żyć warto.

I. M.

Memorabilia polityczne.

Warszawa, 16 czerwca.

Na tle malowniczego krajobrazu morskiej przystani hanzeatyckiego niegdyś grodu estońskiego, — „na wodach Baltyku" — co z naciskiem zaznaczył w dworskim toaście król Edward, odbyło się spotkanie dwóch monarchów, otwierające niewątpliwie nową erę w dziejach polityki europejskiej. Z najsilniejszem natężeniem uwaga całego świata zwrócona była na najdrobniejsze szczegóły zdarzeń, odbywających się w Rewlu. Wszystko było starannie zbierane, rozważane i komentowane, gdyż istotnie zjazd rewelski przechodzi ważnością swego międzynarodowego znaczenia wszelkie inne fakty bieżącej polityki i góruje nad nimi całkowicie.

Jest on dalszym konsekwentnym krokiem planów dyplomatycznych, które z takiem niezaprzeczonem powodzeniem przeprowadza i uzupełnia Edward VII zgodnie z swym gabinetem i narodem, a ku wielkiemu rozdrażnieniu nerwowości niemieckiej.

Najnowsza sytuacya wywołała widocznie ze stanowiska interesów angielskich potrzebę bardziej stanowczego rozwinięcia ogólnikowej bądź co bądź tendencyi dotychczasowego *entente* z Francyą. Wypowiedziane to było nawet dość wyraźnie przez obie strony podczas wizyty prezydenta republiki w Londynie, bezpośrednio poprzedzającej podróż królewską do Rosyi. Samo następstwo tych spotkań i nadzwyczajna okazałość przyjęcia, zgotowanego skromnej mieszczańskiej postaci p. Faillières, dla tego tylko, że jest głową państwa, którem kiedyś rządzili Ludwik św., Grand Monarque i Napoleon Bonaparte, dowodzi, jaką wagę przykładają w Anglii, do przyjaźni z Francyą. Przepych monarszy, wśród którego prezydent francuski mógł nawet narazić się na ironiczną uwagę swoich współziomków, że był „tant soit peu ridicule", stosowano prawdopodobnie tym razem w celu przyspieszenia ewolucyi, mającej nadać porozumienia anglo-francuskiemu ową „permanence", pożądaną przez Anglików. Wprawdzie p. Faillières nie jest tak wrażliwym na dworską wystawność i etykietę, jak był zmarły prezydent Faure i nie odznacza się takiemi zdolnościami dyplomatycznemi, jakie posiadał poprzednik jego Loubet, jednakże niema wątpliwości, że w granicach swojego wpływu zrobi on rzetelnie wszystko co może sprowadzić „resserrement" w stosunkach Francyi z W. Brytanią. Przypomnijmy sobie, że wybór jego na prezydenta nastąpił w trudnem i niepewnem położeniu po pierwszem posiedzeniu konferencyi w Algeciras i że kontrkandydatem jego był p. Doumer, nie usposobiony zbyt przyjaźnie ani dla Anglii ani dla Włoch. Z tego powodu w sprawie rokowań, dotyczących stałego i ściślejszego związania się z Anglią, obecny prezydent jest, bez przesady mówiąc, przedstawicielem narodu i parlamentu, czyli całego kraju. Sprawa wspomniana nie była zaś rzeczą tak łatwą, jak się to mogło wydawać niektórym. Pomiędzy narodami i rządami dwóch krajów trudną do zgładzenia przeszkodę stanowiły i po części stanowią jeszcze dawne uprzedzenia i nieprzyjaźnie, pochodzące z historyi i z różnicy psychologii obu odmiennych ras.

Voltaire miał do powiedzenia o Anglii tylko że posiada ona za mało sosów a za wiele religij; Rousseau znajdował, że jarzyny tamtejsze są mniej smaczne a wiosna później się zaczyna niż na kontynencie. Chateaubriand, który był ambasadorem w Londynie twierdził, że „tous les anglais sont fous par nature ou par ton". W nowszych czasach Taine, lubo sądził Anglię sprawiedliwie, lecz znalazł bardzo wiele punktów do krytyki. Zola, który dwukrotnie przez dłuższy czas przebywał poza kanałem, nie poświęcił ani jednego wiersza wspomnieniom i wrażeniom z Londynu, pomimo swej rozległej twórczości literackiej.

Gdy takie usposobienie było panujące w wybitnych umysłach inteligencyi francuskiej, cóż mówić dopiero o masach narodu, które na Anglię lubiły zawsze patrzeć tylko ze strony komicznej.

John Bull odpłacał im przeważnie tą samą monetą; jeszcze niedawno Douglas Jerrold powiedział, że „the best thing about France is the strait dividing it from England", — najlepszą rzeczą, jaka o Francyi da się powiedzieć, jest to, że ją od Anglii oddziela cieśnina.

Możnaby przytoczyć jeszcze cały szereg innych podobnych faktów, wszystkie zaś razem dowodzą tylko, że istniejące od lat czterech *entente cordiale* wymaga koniecznie utrwalenia za pomocą jakiegoś cementu, któryby nadał mu spoistość, zapewniającą poważne dla obu stron korzyści. Jedynym cementem związków politycznych są interesy realne państw i narodów, a najgłówniejszy właśnie interes polityczny skłania obecnie Francyę do szukania dla siebie oparcia w przymierzu z Rosyą. Wysoką wartość tego sojuszu dla Francyi uwydatniał niedawno z naciskiem p. Pichon w Izbie i to samo stale czynili inni ministrowie, począwszy od Delcasse'ego. Dwuprzymierze jest osią całej polityki zagranicznej Francyi, jest sprawą, na którą rzeczpospolita oddała chętnie swoje miliardy i dziś w dalszym ciągu czuje się również w obowiązku przychodzić Rosyi w potrzebie z finansową pomocą.

Oceniając zatem istotną doniosłość tej kombinacyi, dyplomacya angielska zniewolona była niejako do starania się o zbliżenie z Rosyą, jeżeli porozumienie z Francyą chciała wyzyskać w całej pełni dla siebie, czyli, jak mówią urzędownie, dla utrzymania pokoju powszechnego. Po szczęśliwie przeprowadzonych rokowaniach zawarta została w roku zeszłym konwencya listopadowa w przedmiocie wspólnych dla obu państw spraw azyatyckich.

Nie znamy całkowitej treści tych umów, lecz z ust przedstawicieli rządów rosyjskiego i angielskiego oraz z toastów rewelskich dowiedzieliśmy się, że zapoczątkowane zbliżenie wydało dotychczas jak najlepsze rezultaty. Porozumienie musiało już widocznie zajść dość daleko, skoro król Edward mógł nareszcie zdecydować się na krok w życiu dyplomatycznem Anglii niebywały i pojechać w odwiedziny do Władcy państwa, uchodzącego przedtem w oczach narodu angielskiego za antykulturalny agregat czynników, stanowczo sprzecznych z zasadami, na których polega rozwój konstytucyjny społeczeństw zachodnich.

Obecnie przeważna część prasy politycznej angielskiej przyjęła jako pewnik, że Rosya jest na drodze do wolności i że parlamentaryzm wciąż czynić tam będzie postępy. *Times*, *Daily Telegraph* i inne dzienniki z naciskiem podnoszą pewne uchwały Dumy, wnioski posłów i wystąpienia rządowe, które wskazują, że duch prawa i konstytucyi powoli przenika zarówno przedstawicieli narodu, jako też i sfery rządowe.

To samo przekonanie wyraził także brytański minister spraw zagranicznych gdy odpowiadał na interpelacyę wytoczoną w Izbie Gmin przez socyalistów, zgrupowanych w Labour Party. Wyjaśnienia p. Grey'a poparł przywódca opozycyi unionistowskiej, Balfour, a cała Izba z patryotycznym zapałem, olbrzymią większością odrzuciła wniosek dwudziestu paru zwolenników p. Keir Hardie, któremu się wydaje, jak mówi poważny „Saturday Review", że interes i uczucia narodowe są niebezpieczeństwem dla wolności.

W Rosyi cała bez wyjątku prasa odezwała się chórem bezwarunkowej życzliwości i przyjaźni dla gościa i narodu angielskiego. Pewien dysonans w tym chórze stanowiły tylko artykuły *St. Petersburger Ztg.* i innych organów niemieckich, ostrzegających, że zbyt szumne manifestacye nowej serdeczności z Anglią mogą stać się powodem zawikłań międzynarodowych i „niewiadomo co by w takim razie stąd dla Rosyi wypadło".

Nie zważano na te głosy i przyjęcie angielskiej rodziny królewskiej odbyło się w Rewlu z największą wspaniałością i w jak najpomyślniejszym nastroju ogólnym. Pomijając szczegóły, opisywane szeroko we wszystkich dziennikach europejskich, zaznaczyć tu trzeba że wizyta miała charakter wielce odmienny od zeszłorocznego zjazdu Monarchy Rosyjskiego z Cesarzem Wilhelmem na wodach Swinemünde.

Odwiedziny niemieckie były wyrazem tylko czysto osobistych, familijnych i dynastycznych stosunków pomiędzy obydwoma Panującemi Domami, jakię dyplomacya niemiecka najchętniej zawsze wyzyskiwała dla swoich skrytych celów. Ludność miejscowości nadbrzeżnych widziała tylko na horyzoncie morskim skrawki błękitnawego dymu z pancerników, na których rozmawiali z sobą monarchowie. Tym razem w Rewlu król Edward zbliżył się także do mieszkańców państwa rosyjskiego, któremu to *państwu* życzył „przedewszystkiem" — „above all"—w swoim toaście szczęśliwego rozwoju. Wysokim Gościom przedstawiały się deputacye szlacheckie i miejskie, liczne towarzystwa muzyczne i śpiewacze oraz kilkutysięczne zastępy młodzieży szkolnej, które brały udział w uroczystościach.

Cel i znaczenie zjazdu rewelskiego pojmowany jest wyraźnie i prawie jednakowo w prasie zagranicznej, nie wyłączając niemieckiej. Jest nim mianowicie polityka skierowana do utworzenia takiego połączenia czyli koalicyi państw europejskich, któraby mogła stanowić nieprzebytą zaporę wojowniczym dążnościom Prus i zdolną byłaby wyznaczyć im właściwe stanowisko w równowadze europejskiej, wciąż przez nie zakłócanej. W tym kierunku prowadzona od lat kilku cała akcya polityczna króla Edwarda znajdowała dawniej dzielnego pomocnika w ministrze francuskim Delcasse. Dziś usiłowania jej zwróciły się ku Rosyi w tych samych zamiarach i pewien dziennik westfalski mówi już o nowem trójprzymierzu Anglii, Francyi i Rosyi, jako o fakcie niewątpliwym, z którym Niemcom liczyć się należy.

W podobnym tonie i z zupełną otwartością wyraża się londyńska *Westminster Gazette* w inspirowanym artykule dowodząc, że „nałożenie wędzidła niepokojącej świat ambicyi niemieckiej jest najważniejszą kwestyą polityki angielskiej".

O treści długich rozmów króla Edwarda z prezesem gabinetu petersburskiego, rokowań ministrów spraw zagranicznych między sobą, oraz o tem, jakie umowy zostały zawarte lub przygotowane i do jakich przedmiotów się odnosiły, nic naturalnie jeszcze nie wiadomo. Prasa angielska powszechnie wyraża myśl, że kwestya macedońska i wogóle kwestya Wschodu europejskiego stanowiły materyę, na podstawie której rozwinąć się ma dalsze porozumienie anglo-rosyjskie, a następnie załatwione być mają „inne ważne sprawy w przyszłości"—o których mówił król Edward. Tymczasem, według przyjętego z dobrą wiarą w Niemczech zapewnienia ministra Grey'a w parlamencie, żadne formalne zobowiązania zaciągnięte nie zostały i żadnego traktatu nie spisano.

Opinię taką podziela w tonie suchym znaczący artykuł organu ks. Bülowa *Nordd. Allg. Ztg*, jako też i prasa francuska. W każdym razie dzienniki berlińskie niezależne, do których należy po części *Berl. Tagesblatt* odzywając się z spokojem o zjeździe rewelskim, sądzą, że ten fakt „nie może być zaliczony do korzyści dyplomacyi niemieckiej".

Voss. Ztg. wzywa Niemców, aby się miały na baczności i liczyły tylko na siebie. Hardenowska zaś *Zukunft* dmie w surmę bojową, dowodząc, że skoro dla Niemców stracona już jest przez odsunięcie się Rosyi możność wszelkiej samodzielnej akcyi dyplomatycznej „tre-

ba ten łańcuch izolacyjny przerwał ogniem i mieczem i — niech będzie, co ma być"!

W zapowiedzi ponownego w krótkim czasie spotkania Monarchów rosyjskiego i angielskiego *Riecz* widzi niewątpliwą oznakę, że na zbliżeniu się do W. Brytanii Rosya pozyska głównie tę korzyść, że skończy się tak niemiły dla niej monopol pruski na przyjaźń rosyjską".

Ta jedna już ewentualność, gdyby tylko ziścić się miała, stanowiłaby wielką wygraną dla naszej sprawy, bądź to bezpośrednio, bądź przez wpływ, jaki z pewnością wywarłaby na odpowiednie postawienie kwestyi słowiańskiej, czyli ściślej mówiąc neosłowiańskiej.

Tą kwestyą prasa rosyjska i polska nie przestaje zajmować się ciągle.

Niedawno *Ruś* z okazyi *Tygodnia słowiańskiego* i szumnej przesady przyjęcia króla szwedzkiego w Berlinie zamieściła ciekawy artykuł z powodu korespondencyi berlińskiej do *Neue freie Presse*, której autor zaznacza wysokie rozdrażnienie nerwowe politycznych sfer pruskich skutkiem postawy, jaką przybrały dzienniki rosyjskie względem idei zbliżenia słowian oraz wobec stosunków polsko-rosyjskich. *Ruś* z naciskiem podnosi, że Niemcy korzystając z tego, iż oficyalne stosunki między obu rządami zawsze pozostają dobre, usiłowały skłonić gabinet rosyjski do oddziałania po staremu w celu powstrzymania tego niemiłego dla Niemiec prądu opinii prasowej, lecz im odpowiedziano, że władza w tym kierunku nic przedsięwziąć nie może.

„A jakież to świeże jeszcze czasy — pisze dalej gazeta—kiedy Niemcy, omijając nawet zwykłe drogi dyplomatycznej interwencyi, udawały się wprost do Głównego Zarządu Prasy i tam dyktowały „środki" jakie zastosować należało w celu zachowania nietykalnej przyjaźni rosyjsko-niemieckiej!

Dziś ci dobrzy przyjaciele z nad Szprewy mogą tylko wyrażać swoje „Befremden und Verstimmung" wobec niespodzianie zmienionych warunków w państwie, w którem przecież „chwała Bogu" niema jeszcze konstytucyi. Chwała Bogu w każdym razie — kończy *Ruś* że wreszcie w tem państwie ministeryum spraw zagranicznych nie tańczy już dzisiaj w takt dudki niemieckiej"!

W jednym z ostatnich numerów gazety *Riecz* prof. Pogodin tłomaczy swoim współrodakom dlaczego społeczeństwo polskie nie drgnęło żywym ruchem na wezwanie do pracy nad jednością słowiańską.

Przyczynę tego faktu szanowny prof. widzi trafnie w rozczarowaniach, jakich doznali Polacy ilekroć poszli za głosem idei słowiańskiej i wolnościowej, pochodzącym z Rosyi. Dziś stali się oni chłodniejsi i bardziej ogledni, domagają się gwarancyi co do tego „że naród rosyjski nie chce gnębić polskiego szkolnictwa i nie będzie odrzucał słusznych postulatów narodowych polskich"...

„Trzeba zatem wytężyć usiłowania aby tę usprawiedliwioną nieufność Polaków ostatecznie rozproszyć"...

* * *

W naszej prasie postępowej zaznaczyły się pewne różnice poglądów co do stanowiska, jakie zająć mają Polacy na przyszłym zjeździe praskim.

Kuryer lubelski w artykule „Sprawa słowiańska", zastrzegłszy się przeciw „przedwczesnemu zapałowi na kredyt... zanim w Dumie naród rosyjski wypowie się czynem", twierdzi, że sceptycyzmu nie należy posuwać aż do ignorowania konferencyi praskiej. Byłoby to bowiem „przesądzaniem kwestyi dopiero co rozpoczętej... polityką uchylania się i abstynencyi".

Pogląd *Kuryera* jest ściśle zgodny ze stanowiskiem na którem stanęło Polskie Zjednoczenie Postępowe w kwestyi zjazdu praskiego.

Udział Polaków w tej pierwszej próbnej pracy nad zbliżeniem się słowian, w celu sformułowania dalszego programu, przedewszystkiem zaś udział postępowców uznany jest za bezwarunkowo konieczny.

Nowa Gazeta (nr. 266), wyraża zdanie wręcz przeciwne, oświadczając się nawet wprost za bezcelowością konferencyi praskiej dla Polaków, skoro niema pewności, czy stosunek nasz do Rosyi „w którym streszcza się cała kwestya słowiańska" będzie tam uznany jako naczelny punkt programu słowiańskiego, czy też nie.

W rezultacie *Nowa Gazeta* usiłuje wykazać że dobrze byłoby przedstawicielstwo polskie na zjeździe praskim „zlecić tym stronnictwom" które odrazu przyjęły sprawę słowiańską za swoją bez zastrzeżeń", zwłaszcza, że *Nowa Gazeta* w robocie neoslawistów podejrzewa „próby ryzykownej koncentracyi" na tle neougodowem.

Trzeba jednak dodać, że w tym względzie żadnych danych przedstawić nie może.

* * *

Times donosi, że nowy sultan marokański już w Fezie, a Tanger utrzymuje się w wierności dla Abd-el-Azisa tylko dzięki poparciu wojsk francuskich. Dla Europy kwestya rywalizacyi dwóch braci o panowanie nad Marokiem ma tylko znaczenie o tyle, o ile któryś z nich miałby większą za sobą siłę do utrzymania w kraju porządku. Mulej-Hafid uchodzi za człowieka energicznego, lecz to bynajmniej nie przesądza, że raz zdobywszy tron w sułtanacie, może być najnieudolniejszym władcą. Tymczasem, chociaż Mulej-Hafid panuje już faktycznie w kraju, Francuzi obstają przy urzędowem uznawaniu Abd-el-Azisa za jedynie prawnego sultana. Wytwarza się tym sposobem dla nich położenie nieledwie śmieszne i dość niebezpieczne, zwłaszcza, że Mulej-Hafid potrafił już zaintrygować w Berlinie, gdzie naturalnie znalazł grunt dla siebie przyjazny, i że skoro ustały zamieszki wewnętrzne Francuzi nie mając już racyi posuwania swojej akcyi wojennej w głąb Marokka, cofnęli się do Casa-blanca.

Położenie więc wogóle przedstawia się niejasno i daje powód do wystąpień prasy niemieckiej z żądaniami o zwołanie nowej konferencyi międzynarodowej dla uregulowania sprawy marokańskiej.

St. Pyrowicz.

Nauka na usługach polityki.

Dr. Bernhard, profesor kilońskiego uniwersytetu, mianowany został profesorem fakultetu filozoficznego w Berlinie, a wiadomo powszechnie, że nominacyę swą zawdzięcza książce: „Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staate".

Nominacya ta zrobiła wiele hałasu w Niemczech, krytykowana przez prasę opozycyjną, z oburzeniem przyjęta przez polską opinię w Poznańskiem, uznana została i u nas jako rodzaj nowej demonstracyi antypolskiej, co naturalnie nie jest samodzielnie obranem stanowiskiem, lecz echem zakordonowych głosów.

Trudno zaiste pojąć, dlaczego fakt ten wzbudził sensacyę. Od dawna już przywykliśmy do stokroć jaskrawszych objawów zaprzęgania się nauki niemieckiej do rydwanu polityki szowinistycznej.

Filozof Hartmann dorabiał teoryę filozoficzną do bismarkowskiego systemu opancerzonej pięści i wsławił się wygłoszeniem hasła: „Ausrotten!" w epoce masowych wydalan. W ślad za nim poszedł niejeden inny uczony, a obecnie w pruskiej izbie panów, mężowie reprezentujący tam dostojeństwo nauki głosami swemi przechylili szalę na rzecz wywłaszczenia. Nie poprzestali na prostem głosowaniu; profesor Schmoller uzasadniał naukowo krzyczące bezprawie i nadużył świętego imienia wiedzy dla rozgrzeszenia krzywdzicieli.

Profesor Bernhard będzie kolegował z profesorem Schmollerem. Trzeba na to absolutnej nieznajomości ostatniego dzieła profesora Bernharda, aby z góry orzec: „wart pałac Paca, a Pac pałaca", albowiem w całej tej przeszło 40-to arkuszowej książce niema nic takiego, co ubliżałoby uczonemu — w tym stopniu jak polityczne wystąpienie profesora Schmollera. Raczej należy się obawiać, że koleżeństwo takie, oraz okoliczności nominacyi stać się mogą demoralizujące dla prof. Bernharda.

Pod względem ekonomicznym dzieło jego stanowi bardzo cenne zestawienie bogatego i krytycznie oświetlonego materyału składającego się na dziwnie, jak na autora niemieckiego, zajmujący obraz gospodarczego rozwoju społeczeństwa.

W poglądach politycznych bardzo zresztą skąpo poudzielanych czytelnikowi, znajdujemy dużo naiwności, n. p. opowiadanie o chłopskiej republice lub o dyktaturze polskiej, sprawowanej przez kilka wybitnych osobistości; niema jednak bezczelności, świadomych, tendencyjnych fałszów i podszczuwań. Przeciwnie, pan profesor usiłuje być obiektywnym, zwalcza przesądy i poświęca kilka słów zakończenia krytyce obecnego antypolskiego systemu, opartego na prawach wyjątkowych. „Czyż to leży w interesie Prus, aby zorganizowane społeczeństwo polskie zamienić w hordę helotów"? — pisze.

Nie wyklucza to, że jego obraz stosunków polskich mógł posłużyć rządowi niemieckiemu do oryentacyi, że nawet prawo wywłaszczenia motywowano może chęcią położenia kresu szalonej spekulacyi w handlu ziemią kosztem kolonizacyjnych milionów. Z tych samych faktów można było wysnuć wniosek, że całe dzieło kolonizacyi jest chybione i szkodliwe. Profesor Bernhard nie sformułował ani pierwszego, ani drugiego.

Wracając do jego nominacyi pozostaje ona zapewne niewątpliwie w związku z polityką antypolską. Taki rzadki znawca stosunków polskich dla rządu może być znakomitym informatorem; jest dość dużo wart na to, by go próbować kupić.

Rząd pruski nieraz już w analogicznych sprawach naruszał prawa senatu akademickiego; usuwał z katedr ludzi sobie niedogodnych i dowolnie rozdawał opróżnione przez nich wakanse. Profesor Bernhard, przyjmując katedrę, ofiarowaną sobie w ten sposób, daje dowód, że ceni wyżej względy ministeryum niż powagę nauki i jej niezależność; że jest w nim obok uczonego karyerowicz w dość pospolitym niemieckim stylu. Oto wszystko. Z tego właśnie punktu widzenia nominacya prof. Bernharda zasługuje na ostrą krytykę i nie to, co już napisał, lecz to, co napisze w przyszłości musi wzbudzać nieufność.

Zawsze to nieładnie wygląda, gdy ktoś na swych przekonaniach robi zbyt dobre interesy.

M.

* * *

(*M*) Wyszedł w tych dniach ostatni, pożegnalny numer *Płoczczanina*. Powtórzyło się to samo, co z *Nowinami Radomskiemi*, *Echami Kieleckiemi*, *Tygodnikiem Po-*

dlaskim. Brak środków materyalnych, brak współpracowników — brak prenumeratorów, wyczerpanie się ofiarności w drobnych grupach, podtrzymujących różne rozproszone po prowincyi placówki postępu — oto powody, których nawet nie potrzeba wymieniać, tak są znane.

Mniej więcej rok temu odbywał się zjazd prasy prowincyonalnej. Wtedy jeszcze można było skonstatować z radością, że większość organów prowincyonalnych ma kierunek postępowy. Od tej pory wszystko się zmieniło. Rok miniony cofnął nas wstecz pod każdym względem po szybkim rozpędzie lat poprzednich.

Wszystkie takie fakty, jak upadek *Płoczczanina*, są tylko symptomatami jednej poważnej choroby, trawiącej organizm społeczny, a miano jej — reakcya.

Od nas zależy, czy choroba ta będzie przemijającą czy chroniczną, uleczalną czy śmiertelną. Postępowcy polscy nie są może tak drobną garstką, jak się napozór zdaje, lecz są rozbici, rozproszeni, osaczeni zwłaszcza na prowincyi przez tłumy tych, którzy może tylko dzięki swej ciemnocie idą pod komendą reakcyi.

Skupić się, zorganizować, wytężyć siły dla obrony tych placówek postępu, które jeszcze pozostały, zaprzestać wszelkich małostkowych sporów wewnętrznych o drobne odcienie przekonań lub drobne urazy osobiste, zwalczać apatyę i ciemnotę wszystkimi środkami, na jakie stać inteligencya, oddziaływać bezpośrednio na lud — a kiedyś odzyskamy to wszystko, co tracimy dzisiaj.

KRONIKA.

Ucisk węgierski słowian.

—◆—

Londyński tygodnik polityczny „Saturday Review“ w numerze z 6 b. m zwraca uwagę swego kraju i całego świata na niesłychany ucisk wynaradawiającej akcyi madziarskiej, zwróconej przeciw słowianom, którzy w krainie Arpada stanowią 45% ogółu ludności, nie wliczając naturalnie Kroacyi. Rzecz jest niezwykle interesująca, a napisana z gruntowną znajomością przedmiotu i oparta na urzędowych danych.

Oto jak się przedstawia hakatyzm madziarski, wywierany na blizko połowę obconarodowych obywateli państwa.

Pomimo obowiązującej ustawy zasadniczej z r. 1868, która w par. 17 zastrzega wszystkim mieszkańcom Węgier oświatę ludową ze szkołami w ich macierzystym języku, z pomiędzy 2045 szkół elementarnych rządowych, wszystkie, oprócz jednej, są wyłącznie madziarskie. W liczbie zaś 63 państwowych szkół średnich tylko jedna była mieszaną. Liczbę elementarnych szkół słowackich zredukowano w r. 1906 z 1820 do 241. To samo zrobiono ze szkołami niemieckiemi i rusińskiemi. W latach sześćdziesiątych z. w. Słowacy założyli z własnych funduszów trzy gimnazya, lecz rząd węgierski skasował je samowolnie w r. 1874, odmawiając stale wszelkim usiłowaniom Słowaków, proszących o pozwolenie założenia nowych gimnazyów. W żadnej z 544 technicznych i handlowych szkół w kraju język słowacki, jako wykładowy nie jest dopuszczony. Gdy Słowacy zamierzali na swój koszt założyć wyższą szkołę rolniczą, dano im do zrozumienia, że starania ich na nic się nie przydadzą.

Tym sposobem polityka rządu węgierskiego wyraźnie zmierza do pozbawienia przeszło dwóch milionów Słowaków wszelkich środków kultury i postępu, zmuszając ich do tego, by się uczyli po węgiersku, lub też nie uczyli się wcale. Takie zbrodnie popełnia się w imię wolności i tak zwanego „liberalizmu“.

Co się tyczy stosunków kościelnych, to Rumunowie i Serbowie posiadają swoje narodowe kościoły, tak że nawet obecny rząd nacyonalistyczny nie śmie wkraczać w ich autonomię, ograniczając się tylko do oddziaływania za pośrednictwem szkół.

Położenie wszakże Słowaków jest całkiem odmienne. Hierarchia katolicka na Węgrzech jest prawie cała usposobiona szowinistycznie. Biskup w Szepes na przykład wymierza kary na księży słowackich, którzy odważają się być wiernymi swoim uczuciom narodowym lub trzymać z ludem, gdy ten domaga się szkół z językiem wykładowym słowackim. Głośny był w r. z. fakt, że ksiądz Hlinka został zasuspendowany przez biskupa za to, że popierał słowackiego kandydata na wyborach ogólnych w r. 1906 i nakoniec skazany został na dwa lata więzienia za „podburzanie przeciw narodowości węgierskiej“. Za list, jaki napisał do swoich parafian przy wejściu do więzienia, skazano go jeszcze dodatkowo na półtora roku. Siostrę tego księdza p. Fullo skazano jednocześnie na trzyletnie zamknięcie w więzieniu. Dla powodów czysto politycznych księży słowackich translokują często do odległych miejscowości i ludność pozostawiają bez posług religijnych przez długi przeciąg czasu. W kościołach luterańskich nabożeństwo madziarskie narzucane bywa przez zwierzchność konsystoryalną przemocą, wbrew woli ludności. Niedawno w Antafalva, gdy Słowacy chcieli śpiewać swoje chorały i hymny, kościół był opróżniony przez żandarmów z bronią w ręku; pastora zasuspendowano, a 96 parafian oddano pod sąd o „podburzanie“. W żadnem seminaryum katolickiem albo luterskiem duchowni nie otrzymują nauki w języku przyszłych swoich parafian i za byle jaki objaw uczuć narodowych bywają natychmiast wydaleni, nawet za to, jeżeli rozmawiają z sobą na ulicy po słowacku!

Jednocześnie z uciskiem szkół i kościoła idzie ucisk prasy słowackiej. Dość powiedzieć, że od r. 1886 przeszło 900 redaktorów i autorów nienależących do narodowości madziarskiej było skazanych za obrazy polityczne na ogólną karę 218 lat więzienia i 138,000 koron kosztów sądowych!

Tygodnik angielski sądzi, że Europa powinna wdać się w tę sprawę i znieść okropne barbarzyństwo madziarskie.

St.

* * *

Widownią burzliwych zajść była Duma podczas obrad nad projektem wypłacenia zapomogi komitetowi opiekuńczemu dla spraw malowania obrazów religijnych. W dyskusyi Czcheidze wygłosił zdanie, w którem prawica dopatrzyła się obrazy religii: po przerwie, zarządzonej celem uśmierzenia wzburzonych umysłów, ks. Wołkońskij, jako przewodniczący, poddał pod głosowanie wniosek usunięcia Czcheidzego na 15 posiedzeń, wniosek ten większością 170 głosów przeciw 80 Duma uchwaliła. Po ogłoszeniu wyniku głosowania socyalni demokraci opuścili salę posiedzeń. Do głosujących za wnioskiem należało i Koło polskie Na posiedzeniu następnem przystąpiono do obrad nad preliminarzem ministeryum wojny. Referował Guczkow, przemówienie jego spotkało się z objawami uznania ze wszystkich stron oprócz skrajnej prawicy. Minister wojny, zabierając głos, na wstępie zaznaczył, iż krytyczne wywody referenta w głównych punktach uznane być muszą za słuszne. Przyjęto formułę w redakcyi komisyi budżetowej, po czem kredyty żądane uchwalono. 65 posłów do Dumy z frakcyi S. D., grupy pracy i K. D. zgłosiło wniosek interpelacyi do ministra sprawiedliwości: czy wiadomo mu, że w więzieniu ekaterynosławskiem przed miesiącem bez słusznej zasady zabito 40 i raniono około 55 więźniów, przytem ranionych pozostawiono bez pomocy lekarskiej, a niektóre zwłoki oszpecono; — jakie środki powzięto w celu przeprowadzenia śledztwa i oddania winnych pod sąd. Nagłość tej interpelacyi Duma odrzuciła większością 142 głosów przeciw 88.

O mowie Guczkowa podczas obrad nad preliminarzem ministeryum wojny, pisze „Riecz“: „Uwagi Guczkowa o nieodpowiedzialnych kierownikach sprawy wojskowej w Rosyi były dalszym ciągiem jego uwag o przyczynach naszych niepowodzeń na morzu. Związek ten ostatecznie uwydatnił pewien plan i cel określony taktyki leadera październikowców. O istocie tej taktyki mówiliśmy już, ale przyznajemy, iż nie mogliśmy oczekiwać, aby w danej sprawie kierownicy centrum wykazali tyle stałości, konsekwencyi i energii. Oczywiście, Rosya ciężkiemi ofiarami wywalczyła sobie prawo wolnej krytyki i gdzie ma się to tylko ujawnić, jeśli nie na trybunie dumskiej, i kto ma wziąć na siebie obowiązek wyrażenia wzburzenia patryotycznego, którem przejęta jest cała Rosya bez różnicy partyi, jeżeli nie leader większości Dumy? To też nie może być wątpliwości, że co powiedział Guczkow, co oklaskiwała cała Duma, prócz nieprzytomnych skrajnych prawych, powiedziane zostało na miejscu i na czasie. Wypowiedziano to, co należało wypowiedzieć, a wypowiedziane przez Guczkowa brzmiało bez porównania silniej i bardziej przekonywająco, niż gdyby to samo wypowiedzieli przedstawiciele opozycyi“.

Rada państwa znaczną większością głosów przyjęła projekt budowy kolei amurskiej w redakcyi, uchwalonej przez Dumę.

* * *

„Ag. P.“ podając opis spotkania monarchów w Rewlu donosi: „Podczas obiadu d. 9 b. m. na jachcie „Standart“ Najjaśniejszy Pan powiedział, co następuje:

„Z uczuciem najgłębszego zadośćuczynienia i zadowolenia witam Wasze Królewskie Moście na wodach rosyjskich. Jestem przekonany, że spotkanie to, będąc nowem potwierdzeniem wielu i mocnych węzłów, łączących obydwa nasze narody, wytworzy, jako szczęśliwy wynik, jeszcze ściślejsze zbliżenie naszych krajów i pomoże do zachowania pokoju powszechnego. W ciągu ubiegłego roku rządy nasze załatwiły, ku ogólnemu zadowoleniu, kilka spraw, ważnych jednakowo dla Rosyi i Anglii. Jestem przekonany, że W. Kr. Mość ceni tak samo wysoko, jak i Ja, znaczenie tych porozumień, boć, nie bacząc na ograniczoną ich dziedzinę, nie mogą one nie współdziałać rozwojowi w krajach naszych uczuć wzajemnej życzliwości i zaufania. Piję za zdrowie W. Kr. Mości i Jej Kr. Mości, za rozkwit rodziny królewskiej i narodu angielskiego“.

Król Edward odpowiedział: „Jak najserdeczniej dziękuję Waszej Cesarskiej Mości w imieniu królowej i mojem za uprzejme przyjęcie, okazane nam na wodach Bałtyku i słowa przyjacielskie, które wygłosił W. C. Mość za nasze zdrowie. Zachowuję najszczęśliwszą pamięć o gościnie, która spotykała mnie podczas moich poprzednich odwiedzin Rosyi. Obecna sposobność spotkania się z Waszemi Cesarskiemi Mościami jest dla mnie źródłem najwyższego zadowolenia. Najserdeczniej przyłączam się do każdego słowa, które padło z ust Waszej Cesarskiej Mości w sprawie porozumienia, dokonanego niedawno między naszemi rządami. Mam nadzieję, że posłuży ono do większego wzmocnienia węzłów, łączących narody dwóch naszych krajów i, jestem przekonany, doprowadzi do przyjacielskiego rozwiązania niektórych spraw w przyszłości. Jestem przekonany, że porozumienie nietylko jeszcze ściślej zbliży dwa nasze kraje, lecz będzie oddziaływało w znacznym stopniu na utrzymanie powszechnego pokoju. Mam nadzieję, że po tym spotkaniu nastąpi wkrótce druga okazya do zobaczenia się z Waszemi Cesarskiemi Mościami. Piję za zdrowie Waszych Cesarskich Mości, Cesarzowej Maryi Teodorówny, członków rodziny Cesarskiej, a specyalnie za dobrobyt i szczęście Waszego Wielkiego Cesarstwa.

* * *

Urzędowy wynik wyborów do sejmu pruskiego tak się przedstawia: Polaków wybrano 15, centrowców 100, socyalistów 6, Duńczyków 2, konserwatystów 140, wolnokonserwatystów 58, narod. liberał. 65, woln. str. ludow. 22, woln. zjedn. 7, bezpartyjnych 5. W 25 wyborach ściślejszych wezmą udział: centrowcy 8 razy, socyaliści 5 razy, konserwatyści 6 razy, wolnokonserwatyści 4 razy, narodowi liberałowie 16 razy, wolnomyślni 7 razy, bezpartyjni 2 razy. Okazało się, że socyaliści w Schönnberg-Rixdorf pod Berlinem większości jeszcze nie zyskali. Odbędzie się tu wybór ściślejszy między wolnomyślnymi a socyalistami. Prawdopodobnem jest zwycięstwo socyalistów.

„Dzien. Pozn.“ donosi: Komisya kolonizacyjna w miesiącu maju zawarła 300 kontraktów na kupno i dzierżawy. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy

r. b. zawarła 1,100 kontraktów, czyli 10 procent więcej, niż w tym samym czasie roku zeszłego, który podobno był bardzo pomyślnym, jak z zadowoleniem zaznaczają gazety hakatystyczne. Nie mniejsze zadowolenie wyrażają z powodu świeżo zakupionego Mochelka w pow. inowrocławskim, obszaru 278 hektarów. W tymże powiecie komisya kolonizacyjna zakupiła już 11,200 hektarów, z czego 9,500 hektarów rozparcelowała pomiędzy 500 rodzin kolonistów i pewną liczbę rodzin robotniczych, stanowiących razem 4,000 osób. Większą część kolonistów sprowadzono z Saksonii, mianowicie z okolic Magdeburga, ale są między nimi także koloniści z południowej Rosyi.

Część studentów krakowskiego uniwersytetu przyłączyła się do ogólnego strejku młodzieży szkół wyższych w Austryi, na wykłady uczęszczają tylko narodowi demokraci i klerykali.

* * *

Stowarzyszenie Przyjaciół Pokoju ogłasza następujący komunikat:

Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Pokoju uważa porozumienie ludów słowiańskich za rzecz wysoce doniosłą i pożądaną; uważa ono wogóle porozumienie każdej grupy narodów za etap doniosły na drodze porozumienia się wszystkich ludów cywilizowanych zarówno pod względem kulturalnym jak i politycznym. Ze stanowiska stowarzyszenia jest sprawą obojętną, czy za motyw porozumienia słowian uznać należy tylko względne podobieństwo językowe czy też inne jeszcze cechy podobne. Stowarzyszenie uważa za możliwe i niezbędne porozumienie wszystkich narodów, uznając pokrewieństwo języka, obyczajów, i t. p jedynie jako czynnik, ułatwiający zbliżenie. Stowarzyszenie wyłącza w zupełności jako cel porozumienia się słowian—wszczęcie walki orężnej z Niemcami, lub innymi narodami, uznaje ono jedynie motyw okiełznania siły zaborczej i położenia tamy gwałtom, burzącym zasady sprawiedliwości międzynarodowej; za główną korzyść moralną porozumienia słowian uważa przedewszystkiem umoralnienie wzajemnych stosunków narodowości słowiańskich, a mianowicie: propagandę zupełnego równouprawnienia ludów zarówno słowiańskich jak i innych w tych państwach, gdzie słowianie wywierają wpływ na ustawodawstwo i politykę. Z pobudek powyższych stowarzyszenie mniema, iż społeczeństwo polskie zarówno ze względu na dobro ludzkości — umoralnienie polityki międzynarodowej; podniesienie cywilizacyi i dobrobytu ludów, — jak i ze względu na dobro narodu naszego, winno wziąć udział w podjętym obecnie porozumieniu.

* * *

Masowych aresztowań i rewizyj dokonano w Sosnowcu. „Gon. Częst." donosi, iż aresztowania nastąpiły na podstawie wykazu, jaki zmuszone były fabryki przesłać władzy powiatowej, wszystkich robotników, którzy dnia pierwszego maja nie przybyli do pracy. Licznych rewizyj i aresztowań dokonano również w Łodzi. Według urzędowych danych statystycznych od chwili ogłoszenia stanu wojennego w Łodzi — stracono przez powieszenie 32, a rozstrzelano 28 osób.

Z rozporządzenia generał-gubernatora z dn. 14 lipca wznowione zostaną lekcye w szkołach polskich w gub. kieleckiej. Donosi o tem „Warsz. Dziennik".

Z rozporządzenia warszawskiego generał-gubernatora, kielecki oddział stowarzyszenia kursów dla analfabetów dorosłych uległ zamknięciu na czas trwania stanu wojennego. Prezesowi rzeczonego oddziału, p. Adamowi Skokowskiemu, polecono na przeciąg tegoż czasu opuścić granice Królestwa.

Ministeryum oświaty rozesłało okólnik do kuratorów okręgów naukowych, w którym zaleca, aby w razie, gdy jaki zakład naukowy urządzi wycieczkę uczniów do miejscowości, położonych po za obrębem granicy osiedlenia żydów, i jeżeli w tej wycieczce, będą brali udział również uczniowie żydowscy — zarząd szkoły zwracał się przed wyjazdem do naczelnika danej gubernii o pozwolenie na przyjazd uczniów żydów do tej miejscowości. Donoszą o tem „Gaz. żyd."

* * *

Redakcya „Płoczczanina" nadesłała do pism postępowych następujący okólnik: „Pp. prenumeratorów i zwolenników naszego pisma zawiadamiamy, iż z dniem dzisiejszym „Płoczczanin" przestaje wychodzić. Tych, kogo szczerze interesowały losy naszego wydawnictwa, zapewniamy, że dokładaliśmy wszelkich możliwych starań, aby wytrwać na raz obranym stanowisku. Pomimo jednak wysiłków nie zdołaliśmy przemódz ogarniającej nasze społeczeństwo apatyi. Pozbawieni poparcia materyalnego, a w ostatnich czasach i moralnej zachęty, z przykrością wyznać musimy szczupłemu zastępowi zwolenników naszych, że wyczerpaliśmy już wszelkie środki, umożliwiające prowadzenie dalszej walki. Opuszczamy ważną, zdaniem naszem, placówkę z tem głębokiem przeświadczeniem, że prędzej czy później nadejdzie chwila, kiedy miejsce nasze zajmie zastęp świeżych bojowników, silnych i ożywionych wiarą w lepszą przyszłość. Redakcya".

* * *

Staraniem Związku równouprawnienia kobiet polskich odbyła się 12 b. m. konferencya na temat: „Kobiety wobec stulecia kodeksu Napoleona". Zagaiła konferencyę p. J. Bojanowska zaznaczając, że w stuletnią rocznicę wprowadzenia kodeksu Napoleona kobiety powinny donośniej jeszcze niż kiedy indziej protestować przeciwko prawnemu upośledzeniu kobiety, albowiem kodeks ten postawił kobietę na równi z małoletnimi, zbrodniarzami i waryatami. Następny mówca, p. Józef Lange, określił znaczenie kodeksu Napoleona dla nas, przedstawił chwilę wprowadzenia i wrażenie, jakie wywarło na ogół stosowanie nowych praw, następnie scharakteryzował kierunek reform, którym uległ kodeks Napoleona w ciągu stulecia. Stosunek społeczeństwa polskiego do kodeksu Napoleona omówił p. W. Łypacewicz podnosząc, że zachwycano się nim początkowo, potem nastąpiło zobojętnienie, podczas zaś obchodu jubileuszu brakło głosów krytycznych; przyczynę tego ostatniego zjawiska dostrzega mówca w małem stosunkowo uświadomieniu warstw pokrzywdzonych przez kodeks. Stulecie kodeksu Napoleona jest dla kobiet stuleciem niewoli prawnej. Po szczególowem przedstawieniu najbardziej krzywdzących przepisów kodeksu, referent wezwał kobiety do podjęcia energicznej walki przeciwko nim w imię interesów tak materyalnych, jak i moralnych, zaznaczając, że łatwiej zdobyć częściowe reformy, niż uzyskać odrazu całokształt zmian, wymaganych przez rozwój społeczny w obowiązującem prawodawstwie. Dr. Tylicka mówiła o zniewprawiającym wpływie kodeksu Napoleona na duszę społeczną; p. Weydel o anormalności przepisów, dotyczących asystencyi męża i zakazu dochodzenia ojcostwa; p. Kuczalska zaś wskazywała na łączność między walką o prawa kobiety a podniesieniem poziomu etyki ogółu. Rozdanie kwestyonaryuszy w kwestyi ograniczeń praw kobiety w kodeksie cywilnym zakończyło zebranie.

Ostatnie posiedzenie Tow. przyjaciół pokoju poświęcone było sprawie neo-slawizmu. Głos zabierali pp.: d-r Polak, Janowski, B. Lutomski, Straszewicz, Łypacewicz, Rappaport i inni. Zebrani powzięli uchwałę zgodną w treści z komunikatem wyżej przytoczonym. Ze spraw bieżących zajmowano się 17 kongresem powszechnym pokoju w Londynie, który Stow. pokoju urządza 27 lipca. Na zjazd ten wybierają się z ramienia Tow. przyjaciół pokoju dr. Polak, d-r Świątopełk-Zawadzki, d-r Kochanowicz, prof. W. M. Kozłowski, Manawet Ciemniewski, Emil St. Rappaport, Łypacewicz i hr. Michał Tyszkiewicz.

wh.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i środy od 11 — 12; piątki i soboty od 4 — 5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.